

**ANNETTE BROADRICK**

**Zaproszenie  
na ślub**

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

### *Los Angeles, Kalifornia późny marzec*

Steve Antonelli poruszył się we śnie, na pół świadomy, że coś jest nie tak, jak być powinno.

Naciągnął poduszkę na głowę i pogrążył się na powrót w niezwykle erotycznym śnie. Przez ostatnie miesiące, odkąd powrócił do Los Angeles z egzotycznego urlopu na wyspie, co noc śnił ten sam sen, przenoszący go na powrót do tropikalnego rajy i do wspomnień, jakie stamtąd przywiózł.

Ale sen odszedł. Coś było nie tak.

Sypialnia, zaopatrzona w grube rolety i podbite podszewką zasłony, zwykle zanurzona w mroku, jaśniała teraz nienaturalnym blaskiem.

To nie mógł być poranek. Jeszcze za wcześnie. A nawet gdyby, wcale nie musiał wstawać, miał w końcu wolny dzień. Kilka tygodni pracy w wydziale zabójstw Departamentu Policji Los Angeles wystarczyło aż nadto, aby wymazać z pamięci wszelkie myśli o wakacjach. Przynajmniej w ciągu dnia.

Cóż, teraz nawet w nocy przerwano mu senne marzenia.

Chociaż wciąż na pół śpiący, Steve wiedział, że nie zagraża mu niebezpieczeństwo. Mieszkania w kompleksie apartamentów strzegł najwyższej klasy alarm elektroniczny, który uniemożliwiłby ewentualną próbę włamania.

Ale skąd się wzięło to światło?

Jęknął żałościwie, zrzucił poduszkę z twarzy i przeturlał się na plecy. Prześcieradło owinięło mu się wokół nagich bioder. Odgarnął włosy z twarzy i przemógł się, aby spojrzeć w ostre światło.

To, co ujrzął, sprawiło, że usiadł jak pociągnięty sprężyną.

Wokół łóżka stało trzech mężczyzn, dwóch po bokach, a trzeci w nogach. Z perspektywy siedzącego na łóżku Steve'a wszyscy wyglądali na ponad sześć stóp wzrostu. Jak spod sztancy - szerokie bary, wąskie biodra, opinające się na długich nogach ciasne dżinsy, wszyscy nosili u pasa wielką, srebrną kłamrę, którą z zawodowego punktu widzenia spokojnie mógłby uznać za „nielegalną broń”. Stali na szeroko rozstawionych nogach, z rękoma skrzyżowanymi na piersi. I każdy miał w spojrzeniu coś, od czego dreszczyk przebiegał po krzyżu. No cóż, może nawet nie dreszczyk, a solidny dreszcz. Można by sądzić, że to trzej mściciele wypełniający misję.

- Co za... - odezwał się, sięgając po pistolet, który miał zawsze w zasięgu ręki. Nie było go!

Człowiek po prawej sięgnął za siebie i podniósł pistolet z blatu szafki. Pokazał go Steve'owi, jakby odpowiadając na niewypowiedziane pytanie, i odłożył z powrotem.

Teraz dopiero Steve poczuł się nagi. Brak ubrania to jedna rzecz, ale brak ochrony to zupełnie inna sprawa.

- Kim wy, do licha ciężkiego, jesteście?! - zapytał ostro.

Osobnik stojący w nogach łóżka, chyba starszy i dużo ważniejszy niż tamci dwaj, gapił się nadal w milczeniu, aż wreszcie przemówił, cedząc słowa powoli i spokojnie:

- Steve Antonelli?

Niepokój narastał z każdą chwilą. Steve zapytał twardo:

- Jak się tu dostaliście?

Rozmówca wskazał typka po lewej stronie Steve'a.

- Jim obszedł twój system alarmowy. Mówi, że zamontowałeś sobie całkiem skomplikowany obwód. Jesteśmy pod wrażeniem.

Steve schował twarz w dłoniach, łokcie wsparł na kolanach. To jakiś sen? Może kara za śmiałe seksualne marzenia, których dopuszczał się wcześniej? Potarł twarz i ostrożnie podniósł spojrzenie. Wszyscy trzej stali nadal na swoich miejscach, w jasnym świetle żyrandola, jak łowcy nad ofiarą. Żaden z nich nie zachowywał się agresywnie, ale trudno byłoby uznać ich za konsultantów Avonu. A jednak, pomimo dziwnych okoliczności, czuł się zadziwiająco mało wystraszony.

- Powiecie mi wreszcie, kim jesteście i czego chcecie? — rzucił przez zaciśnięte zęby.

- Jak nam powiesz, czy jesteś Steve Antonelli - odpowiedział jeden z niespodziewanych gości.

- Jasne, że jestem Steve Antonelli! - krzyknął. - Mogliście to wyczytać na skrzynce pocztowej. Czego chcecie!

Trzej mężczyźni popatrzyli najpierw na siebie, a potem na niego. Ich rzecznik oznajmił:

- Chcemy osobiście zaprosić cię na ślub naszej siostry, który odbędzie się w przyszłym tygodniu w Teksasie.

To chyba naprawdę sen. Banda nieznajomych zjawia się w jego sypialni, budzi go o siódmej rano, a potem ma czelność twierdzić, że zapraszają go na jakiś ślub? Nie, to nie mogło dziać się naprawdę. Opadł znowu na łóżko, nakrył głowę i wymruczał niewyraźnie:

- Zgaście światło, jak będziecie wychodzić, dobra?

Pomyślał, że kiedy się obudzi, na pewno opowie ten sen kumpłowi. Najgłupszy sen, jaki pamiętał! Miał spotkać się z Rayem za parę godzin na późnym śniadanku w ich ulubionej restauracji na Bulwarze Zachodzącego Słońca...

- Niezły chwyt, koleś - odezwał się znów ten starszy - ale przyszliśmy specjalnie po to, żebyś zdążył na ślub. Może byś tak się ubrał i spakował?

Steve otworzył oczy, by ujrzeć nogi stojącego najbliżej. Sen pomału przechodził w koszmar. Ci faceci nie mieli zamiaru rozpułnąć się w powietrzu.

Usiadł. Odrzucił prześcieradła i wstał, nie troszcząc się o konwenanse. Powiedział jak najuprzejmiej:

- Zechcecie mi wybaczyć, panowie - po czym pomknął do łazienki, zatraskując za sobą drzwi.

Wsparł się na umywalce i zerknął w lustro. Spojrzały na niego jego własne przekrwione oczy. Skąd mu się wziął taki dziwaczny sen? Potarł szorstki podbródek i wyprostował się pomału. Ciało wciąż nosiło oznaki pobytu na tropikalnej plaży - skórę pokrywała głęboka opalenizna, z wyjątkiem jasnej plamy wokół bioder. Poklepał się w zamysleniu po twardym brzuchu, podrapał po owłosionej

piersi. Czy po trzech latach służby dostawał już świra? Przecież trzytygodniowe wakacje powinny ukoić skołatanę nerwy, przynieść wytchnienie i przyzwyczaić do jedzenia trzech regularnych posiłków dziennie. Powrócił do domu gotów znowu wziąć się za bary z codzienną rutyną, której częścią było cotygodniowe spotkanie z Rayem.

Steve potrząsnął głową, wszedł do kabiny prysznicowej i odkręcił kurek. Wykąpał się, wysuszył, ogolił i wyszorował zęby, aż wreszcie był gotów śmiać się z porannych przywidzeń i ruszyć na spotkanie nowego dnia. Otworzył drzwi, by pomaszerować dziarsko do toalety i... zamarł w pół drogi.

Trzech facetów stało rzędem, zagradzając mu drogę w głąb mieszkania. To nie było przywidzenie. Będzie musiał jakoś wybrnąć z tej żałosnej szopki.

- Poddaję się - uniósł ręce. - Macie mnie. Tylko powiedzcie mi, kto was najął do odstawienia tego skeczu. Może Ray? Nigdy bym nie pomyślał, że stać go na tyle wyobraźni, ale przyznaję, że jest dobry. Wyglądacie jak wyjęci z westernu, brakuje wam tylko sześciu rewolwerów na biodrach.

Spojrzeni po sobie.

- Niezłe, nie? Ten facet udaje, że nie zna Robin.

Steve zapatrzył się na nich, a język zaplątał mu się w supeł. Dopiero po chwili wykrztusił:

- Robin? - odchrząknął. - Macie na myśli Robin McAlister?

Popatrzyli na niego z satysfakcją.

- Cieszę się, że pamięć ci wraca - mruknął ten nazwany Jimem.

- Mojej pamięci nic nie dolega. Ale nie rozumiem, co Robin na wspólnego z wami, panowie.

- Jesteśmy braćmi Robin - odezwał się wreszcie trzeci z nich. -I przyjechaliśmy dopilnować, żebyś stawił się na ślubie naszej siostry. Bo to ty będziesz się z nią żenił.

## ROZDZIAŁ DRUGI

### *Los Angeles, Kalifornia grudzień poprzedniego roku*

Steve przekroczył próg swego mieszkania, wyłączył alarm i powlókł się zmęczony do kuchni. Nie pamiętał już, kiedy coś jadł. Był tak znużony, że nie miał na nic ochoty. Otworzył lodówkę. Sięgnął po piwo, jego zwykły środek nasenny. Piwo na pusty żołądek szybko powinno go znieczulić.

Mrugające światółko w telefonie wskazywało trzy nagrane rozmowy. Włączył odtwarzanie.

- Cześć, Steve - zabrzmiał seksowny, kobiecy głos. Zmarszczył brwi, gdy rozpoznał głos Alicji, ciągnący dalej: - Od tygodni się nie odzywasz, kochanie. Wiem, jak bardzo jesteś zajęty, ale tęsknię za tobą. Zadzwoń do mnie, dobrze? O każdej porze dnia i nocy - zakończyła westchnieniem.

- Hej, Steve, stary, przekręć do mnie, dobra? - zabrzmiało po sygnale. To Ray. Pewnie dlatego, że Steve odwołał dwa kolejne spotkania.

Trzecia wiadomość zaniepokoiła go. To był ojciec.

- Steve, czy mógłbyś do mnie zadzwonić, kiedy tylko przyjdiesz do domu?



Zerknął na zegarek. Było po jedenastej, ale ojciec nie kładł się wcześniej do łóżka. Steve podniósł słuchawkę i wcisnął przycisk z automatycznie zakodowanym numerem. Ojciec odebrał już po pierwszym sygnale.

- Co się stało? - spytał od razu Steve.

- Właśnie tego chcę się dowiedzieć - odparł Tony Antonelli.

Steve zdziwił się.

- Nie wiem, o czym mówisz, tato. Sądziłem, że masz coś pilnego.

- Bardzo pilnego. Martwię się o ciebie. Odwołałeś już dwa rodzinne obiady. Dzisiaj matce szczególnie zależało, żebyś był. Chciałbym wiedzieć, co się z tobą dzieje.

- Po prostu pracuję, tato.

- Za bardzo się angażujesz - powiedział miękko ojciec.

Steve potarł czoło i poczuł zmarszczki między oczami.

- Miała tylko pięć lat, tato... Pięć. Bawiła się na podwórku i zginęła w strzelaninie między gangami. Dorwę ich, nieważne, ile mi to zajmie czasu.

- Rozumiem. Naprawdę. I podziwiam twoje powołanie, synu, ale musisz dać sobie trochę wytchnienia. Inaczej staniesz się tylko cyferką w statystyce zgonów z przepracowania, jeśli nie gorzej. Na pewno nie odżywasz się i nie sypiasz tak jak trzeba. Musisz coś zrobić, żeby wyrwać się z tego kołowrotu.

- Wiem, wiem.

- Dzisiaj miałeś mieć wolny dzień, prawda?

- Tak.

- A kiedy ostatnio naprawdę wziąłeś wolny dzień?

- Nie pamiętam.

- Aha. A co z Bożym Narodzeniem? Będzie za parę tygodni. Czy możemy liczyć na twoją obecność?

Steve uśmiechnął się.

- Możecie. Obiecuję.

Głos Tony'ego zabrzmiał szorstko.

- Dobrze. Kocham cię, synku.

- Też cię kocham, tato.

Koniec połączenia. Steve wspiał się po schodach i poczłapał do łazienki na piętrze, zostawiając porozrzucane ubrania na podłodze sypialni. Stał pod gorącym prysznicem, dopóki woda nie zaczęła się ochładzać, wreszcie wytarł się i padł na łóżko. Ostatnią myślą było to, że naprawdę potrzebuje odpoczynku.

*Austin, Teksas*

- Tylko pomyśl, Robin, dziesięć dni innych od wszystkiego, co znamy - powiedziała Cindi Brenham z ekstatycznym westchnieniem. - Całe dziesięć dni na Karaibach i nic do roboty, poza objadaniem się wspaniałym żarciem i flirtowaniem z cudownymi facetami, którzy wyglądają jak modele. Będziemy łamać im serca i opalać się, a potem wrócimy na ostatni semestr przed obroną. Naprawdę, jesteśmy sobie winne trochę zabawy podczas ferii.

Cindi siedziała naprzeciw Robin McAłister w kawiarence blisko kampusu Uniwersytetu Tekskańskiego. Mimo że kalendarz wskazywał grudzień, było słonecznie i ciepło. Robin przyglądała się rozentuzjasmowanej przyjaciółce. Czasami się zastanawiała, jak dwie osoby o tak

przeciwstawnych temperamentach mogą być ze sobą tak blisko. Przyjaźniły się od początku szkoły podstawowej, razem poszły do średniej, aż w końcu zamieszkały wspólnie jako studentki. Cindi zamierzała zrobić karierę w gwałtownie rozwijającym się przemyśle komputerowym, a Robin zajęła się public relations. Ostatnie lato, tak jak i poprzednie, poświęciły na naukę i nie mogły już doczekać się chwili, gdy za kilka miesięcy wyrwą się w szeroki świat.

Robin westchnęła.

- To brzmi zbyt pięknie, żeby było prawdziwe. Jesteś pewna, że dobrze zrozumiałaś swoją mamę?

Cindi przytaknęła, czarne kędziory zatańczyły wokół jej twarzy.

- Ciocia Nell kupiła dwa bilety na rejs od piątego do piętnastego stycznia, ale wujek Frank leży w szpitalu po zawale serca. Nie mogą popłynąć, a na zwrot pieniędzy jest już za późno. To dla nas wspomniała okazja.

Brzmiało cudownie. Szansa na chwilową ucieczkę, szansa zrobienia czegoś na własną rękę. Myśl o wymknięciu się spod nadzoru trzech nadopiekuńczych braci podniecała Robin coraz bardziej. Kochała swoją rodzinę, oczywiście. Nikt nie mógł mieć bardziej troskliwych i kochających rodziców.

Robin dziękowała niebiosom, iż odziedziczyła po matce wysoką, smukłą figurę, rude włosy i zielone oczy. Matka była niegdyś znaną modelką, a i Robin miała kilka podobnych ofert, odkąd skończyła szkołę. Oczywiście wiedziała, że nie warto wspominać o tym rodzicom, a zwłaszcza ojcu.

Skąd mogła wiedzieć, że gdy zostanie nastolatką, jej kochający i spolegliwy tatuś zacznie się zmieniać w zaborczego strażnika. Co gorsza, w miarę jak dorastała, jej bracia stawali się nieubłaganymi aniołami stróżami.

Jason, najstarszy, nazwany po ojcu, miał dwadzieścia osiem lat. Jim właśnie skończył dwadzieścia pięć. Sama Robin miała dwadzieścia dwa. Josh był najmłodszy i liczył sobie lat dziewiętnaście. Robin miała kiedyś nadzieję, że gdy pójdzie na uniwersytet, bracia odpuszczą sobie rolę ochroniarzy, ale się pomyliła. Jim wciąż jeszcze był wtedy na uczelni, a zanim skończył studia, na jego miejsce przyszedł Josh i przejął pałeczkę. Doprowadzili do tego, że miała czasami ochotę wyrwać się na wolność i naprawdę zaszaleć. Na przykład bez zastanowienia udać się w rejs po Karaibach w środku zimy.

- No i co myślisz? - zapytała niecierpliwie Cindi. - Nie uważasz, że byłaby to wspaniała odskocznia od zakuwania?

Robin powoli skinęła głową, pełną kotłujących się gorączkowo myśli.

- Nie tylko od zakuwania - powiedziała. - Nie ma szans, żeby moi bracia zdążyli zdobyć bilety. Będę mogła wreszcie zrobić coś naprawdę sama, bez braciszków wiecznie stojących za moimi plecami i odstrasżających wszystkich fajnych facetów.

Cindi uśmiechnęła się łobuzersko.

- O, nie wiem. Gdybym tak mogła przekonać Jasona, żeby popłynął z nami... - zaczęła rozmarzonym głosem.

Robin przewróciła oczami. Cindi była zadurzona w Jasonie, co stanowiło tajemnicę poliszyneła, przy czym fakt, że Jason zupełnie ją ignorował, wcale dziewczyny nie

zrażał. Czasem Robin zastanawiała się, co zrobiłaby Cindi, gdyby Jason okazał jej zainteresowanie. Wbrew przechwałkom, pewnie wzięłaby nogi za pas.

- Więc jedziesz? - zapytała Cindi. - Powiedziałam mamie, że zadzwonię dziś wieczór dać znać, czy się zdecydowałyśmy.

- Ale co powiem rodzinie? - myślała głośno Robin.  
- Ojcu na pewno się to nie spodoba.

- No to powiesz mu dopiero przed samym wyjazdem, w ostatniej chwili. Jemu się nigdy nie podoba, kiedy nie wie dokładnie, gdzie i z kim jesteś, to nic nowego. Ale co może być niebezpiecznego w rejsie? Zamieszkamy we wspólnej kajucie i dotrzymamy sobie towarzystwa. Będziemy się nawzajem pilnowały. Zresztą jesteś już dorosła. Ojciec musi czasem odpuścić.

- Aha - powiedziała Robin z wyraźną nutą sceptycyzmu. - Ty to wiesz i ja to wiem. Ale jeśli chodzi o mojego ojca, to wciąż jestem kilkuletnią dziewczynką, którą nosił na barana albo trzymał przed sobą w siodle. Zawsze trząśł się nad swoją jedyną córeczką. To cud, że bracia mnie nie znienawidzili.

Cindi uśmiechnęła się przekornie.

- A ja myślę, że to słodkie. Daj spokój, z wierzchu jest surowy, ale pod surową fasadą twój stary to nic strasznego. Nigdy nie potrafi długo odmawiać. Jak tylko zrobisz buzię w podkówkę, zaraz się poddaje.

- Myślisz, że jak zaczekam do ostatniej chwili, to lepiej to przyjmie?

- Nie. Ale nie będziesz miała czasu go słuchać. A zanim wrócimy, uspokoi się trochę. Może.

Robin zaśmiała się.

- O, właśnie. Taki jest mój tata!

Cindi ciągnęła dalej:

- Mamy jeszcze czas, żeby kupić ciuchy na rejs. Robin! To będą wakacje naszego życia! Będziemy wracać do tego w myślach i opowiadać wnukom, jak to wybrałyśmy się statkiem na Karaiby!

- O ile nie dostaniemy choroby morskiej.

Cindi wstała, zostawiając na stoliku napiwek dla kelnerki.

- No to będziemy miały okazję się przekonać, prawda?

*Santa Monica, California*  
*28 grudnia*

- Zastanów się, Steve - powiedział Ray, gdy wracali z kortu. - Pracujesz za ciężko i wypadasz z formy - klepnął Steve'a w plecy. - Nie sądziłem, że dożyję dnia, kiedy aż tak cię pobiję. Spójrz prawdzie w oczy, stary. Nie jesteś tak dobry, jak kiedyś. Nie jesteś już dla mnie wyzwaniem.

- Odczep się, Cassidy. Miałem kiepski dzień, poczekaj na następny raz. Pokażę ci, jakim to nie jestem wyzwaniem.

- Może i tak, ale uważam, że potrzebujesz przerwy. Urlopu.

Steve chwycił ręcznik i otarł twarz. Potem sięgnął po butelkę z wodą i duszkiem opróżnił ją do połowy. Rozejrzał się, podziwiając błękit nieba i drzewa palmowe, wyróżniające się na tle surowego krajobrazu.

- Ignorujesz mnie - odezwał się Ray po paru minutach.

- Nie. Zastanawiam się nad tym, co powiedziałaś. I chyba się z tobą zgadzam.

- W czym? Że wypadasz z formy czy że potrzebujesz urlopu?

- W jednym i drugim. Wiesz, kiedy byłem u rodziny w zeszłym tygodniu, wpadł w odwiedziny stary przyjaciel ojca. Proponował mi, żebym wziął sobie wolne i odwiedził jego wyspę.

- Jego wyspę? Poważnie? Ma całą na własność?

Steve wzruszył ramionami.

- Był gwiazdą baseballu, tak jak ojciec, składał pieniądze przez lata i postanowił spędzić emeryturę w egzotycznym, odległym miejscu na Wyspach Dziewiczych. Mówił, że mieszkał tam z żoną dziewięć miesięcy, aż oboje uznali, że Eden wcale nie jest taki fajny. Nie ma sklepów, nie ma rozrywek, nie ma rodziny ani przyjaciół. Spędzają tam czasem weekendy, ale poza tym jedynymi mieszkańcami jest rodzina tubylców, którzy pilnują wyspy. Powiedział, że miejsce leży odłogiem, aż prosząc się o wykorzystanie.

Ray usiadł i wpatrzył się w Steve'a z podziwem.

- Dlaczego moja rodzina nie zna nikogo, kto ma własną wyspę? I co, przyjmiesz zaproszenie?

Steve westchnął.

- Właściwie to już wczoraj rozmawiałem z kapitanem, czy nie da mi wolnego. Odbije sobie na mnie po powrocie. Prosiłem o trzy tygodnie.

- Chętnie bym z tobą pojechał, ale wolny czas będę miał dopiero w maju.

Steve podniósł torbę.

- Właściwie cieszę się, że pobędę trochę sam. Coraz

bardziej mi się to podoba. Nie trzeba z nikim gadać, można spać, kiedy się chce, poczytać sobie, złapać trochę słońca. Żyć, nie umierać.

- A nie będzie ci czasem brakowało kobiecego towarzystwa, Robinsonie Crusoe?

Steve roześmiał się i pokręcił głową.

- To ostatnia rzecz, jakiej bym potrzebował. Dzisiaj w nocy chyba wreszcie udało mi się przekonać Alicję, że nie mamy razem przyszłości. Bardzo się starała udowodnić mi coś przeciwnego. Samotność jawi się bardzo kusząco po miesiącach tłamszenia przez tę kobietę.

- Szkoda, że przy mojej czarującej osobowości nie mam twojej prezencji - rzekł Ray uroczyście. - Ta pociągająca, mroczna uroda tylko się marnuje.

Steve przyjrzał się rudowłosemu, piegowatemu koledze i skrzywił się w uśmiechu. Ray przyciągał kobiety jak magnes, więc cała ta gadka była na niby.

- Daj spokój - odparł Steve. - Lata za tobą więcej kobiet niż za pięcioma innymi facetami.

- Może i tak - Ray wzruszył ramionami - ale ta twoja włoska uroda sprawia, że lecą na ciebie, nawet kiedy ich nie widzisz. Tak jak teraz.

- Co takiego?

- Te dwie, które patrzą, jak wychodzimy z kortu - Ray wskazał głową dziewczyny zajmujące sąsiedni kort. - Obserwowały cię przez cały ostatni set. Zastanawiały się, w jakiej telenoweli mogły cię zobaczyć.

Steve potrząsnął głową z niesmakiem.

- Bardzo śmieszne.

- Wiesz co, Steve? Kiedyś i tak stracisz to swoje bez-



cenne serce i zobaczysz, jak czujemy się my, śmiertelnicy - zaśmiał się Ray. - Mam nadzieję, że będę w pobliżu, jak to się stanie. Żebym mógł się przyglądać.

- Mówiłem ci, Ray, że będąc gliniarzem nie masz szans na udany związek. Wszyscy pożenieni, z którymi pracuję, są albo już po rozwodzie, albo mają w domu piekło. Kobiety nie przepadają za długimi godzinami pracy i ryzykiem zawodowym, nie mówiąc już o nędznej pensji mężów.

- No to zmień zawód.

- Lubię to, co robię. Na ogół. Ale od Bożego Narodzenia poważnie planuję wakacje.

Dotarli do samochodów. Steve zatrzymał się.

- Dam ci znać, kiedy dostanę pozwolenie na urlop. A jak wrócę, zagramy rewanż i zobaczymy, czy wypadłem z formy.

- Obiecuj, że nie zabierzesz ze sobą rakiety.

Steve roześmiał się.

- A z kim będę grał w tenisa na bezludnej wyspie? Będę tak odcięty od świata, że nie wyślę ci nawet kartki.

- Mam nadzieję, że ci się uda - spoważniał Ray. - Po raz pierwszy od bardzo dawna usłyszałem, jak się śmiejesz.

*Miami, Floryda*  
*5 stycznia*

- Och, Robin, to straszne! - wyszeptała dramatycznie Cindi, gdy wsparte o reling statku patrzyły, jak inni pasażerowie wchodzą na pokład.

- Niezupełnie tego się spodziewałyśmy - odpowiedziała smutno Robin.

- Nie widzę nikogo młodszego niż sześćdziesiąt lat, a ty?

- Może twoja ciotka i wujek zamówili bilety przez jakiś klub seniora albo coś?

- Nie pomyślałam. Pasowałoby idealnie do tej grupy. Co zrobimy?

Robin roześmiała się.

- Będziemy się dobrze bawić i tyle. Założymy nasze nowiutkie seksowne ciuchy, będziemy się objadać do utraty sił i fantazjować o przystojnych mężczyznach.

Cindi zerknęła przez ramię.

- Właściwie to niektórzy z załogi wcale nie są źli. Kto wie? Może się nad nami zlitują. Zauważyłaś, że nie ma ani jednej samotnej kobiety?

- Może wiedzą coś, o czym my nie wiemy. Może dostały specjalną broszurkę, w której napisano, żeby przywieźć swojego mężczyznę.

- Aaa, jak na zaproszeniach z „alkoholem we własnym zakresie”?

Popatrzyły na siebie, wybuchając śmiechem. I wtedy wyrósł przy nich marynarz.

- Cieszę się, że panie już się dobrze bawią. Gdybyście chciały napić się czegoś, wskażę drogę do baru i salonu.

Robin zerknęła na przyjaciółkę.

- Brzmi interesująco - powiedziała.

Idąc za marynarzem, uświadomiła sobie ironię sytuacji. Ani ojciec, ani bracia nie będą raczej musieli się o nią martwić podczas tej podróży.

*Wyspa San Saba*

Steve stał na plaży i patrzył, jak rozświecła się niebo. Napięcie odpływało, opuszczało jego ciało. Przebywał tu od trzech dni i czar wyspy zaczął nań oddziaływać. Jedy-  
nym dźwiękiem był kojący szum fal obmywających brzeg, czasami odzywał się jakiś ptak. Poza tym panowała cisza.

Do ciszy najtrudniej się przyzwyczaić. Nie było hała-  
sów, ruchu ulicznego, wyjących syren, klaksonów, pisku hamulców i innych dźwięków, nieustannie obecnych do-  
tąd w tle jego życia.

Odwrócił się i spojrzął na szczyt wzniesienia. Na pa-  
górku stał dom, zwrócony ku niebu i wodzie. Nie żałowa-  
no kosztów, aby zmienić to miejsce w tropikalny raj. Ku-  
chnia i łazienka były wyposażone w najnowocześniejsze  
urządzenia, wykładane płytkami podłogi pokrywały tkan-  
maty, każdy pokój szczyił się oknem od podłogi aż po  
dach, a wentylatory pod sufitem odświeżały powietrze  
w każdym pomieszczeniu, cichym szumem akompaniując  
myślom Steve'a.

Pierwszego dnia na wyspie - po nocnym locie z Los  
Angeles do Miami, przesiadce na samolot na Wyspę Świę-  
tego Tomasza i podróży łodzią na San Sabę - Steve spał  
dwanaście godzin. Wstał późnym wieczorem, tracąc oka-  
zję obejrzenia wyspy w dziennym świetle. Wędrował po  
pokojach, oglądając meble z wikliny i rattanu, i chłonał  
uczucie zawieszenia w czasie, spokoju i rozleniwienia.  
Był bardzo daleko od Los Angeles.

W lodówce czekała na niego fura smakowitego jadła  
- świeże owoce i warzywa oraz pełen przysmaków talerz,

który wystarczyło tylko podgrzać w mikrofalówce. Carmela przygotowała jedzenie, gdy jej mąż, Romano, wiozł Steve'a łódką na San Sabę. To byli szczęśliwi ludzie, zadowoleni z życia. Chętnie pracowali dla zagląającego tu sporadycznie Amerykanina i z przyjemnością zajęli się Steve'em. W drodze na San Sabę Romano opowiedział mu pokrótce historię wyspy. Powiedział, że nawet z najwyższego punktu nie widać śladu innych wysp w archipelagu, które z samolotu jawiły się Steve'owi jako zielone klejnoty na błękitnym tle. Oto po raz pierwszy w życiu miał być sam i robić to, na co miał ochotę.

Odkąd przyjechał, prawie nie widywał swoich opiekunów, mimo że posiłki były zawsze gotowe, a świeżo wyprane ubrania zjawiały się co dzień w jego pokoju. Łatwo było przywyknąć do takiej egzystencji.

Zaburczało mu w brzuchu, aż zaśmiał się sam do siebie. Szybko przyzwyczał się do regularnych, pysznych posiłków, a Carmela fantastycznie gotowała. Romano co jakiś czas pływał na Wyspę Świętego Tomasza po zapasy, Steve jadał więc niczym bogaty plantator z Południa. Spodziewał się, że do końca urlopu przytyje co najmniej dziesięć funtów.

Gdy słońce ukazało się nad horyzontem, Steve zdecydował się powrócić z plaży. Po śniadaniu planował zwiedzanie wyspy, a potem znów długą drzemkę. Przez ostatnie dni przespał więcej godzin niż wcześniej przez całe tygodnie.

Rozpoczął wspinaczkę ścieżką na wzgórze.

Trzeciego dnia na pokładzie animator rozrywki oznajmił Robin i Cindi, że organizowana jest wyprawa łódką na pobliską wyspę, znaną z basenów przypływowych i za-

mieszkujących je egzotycznych morskich żyjątek. Cindi to nie zainteresowało, ale Robin pomyślała, w ostatniej chwili, że może być fajnie. Wzięła niewielką torbę, wrzuciła do niej dodatkowy kostium kąpielowy, wielki ręcznik, dodała spodnie i wiatrówkę na wypadek, gdyby się ochłodziło, i dołączyła do niewielkiej grupki zebranych. Nie wpisała się na listę, ale była pewna, że jedna osoba więcej nie zrobi różnicy.

Po drodze kierujący łodzią oficer objaśnił, że wyspa należy do pewnego Amerykanina, który pozwalał statkom pasażerskim dobijać do północnego brzegu. Prywatna rezydencja leży na drugim krańcu wyspy i tam nie wolno się zapuszczać. Robin słuchała jednym uchem. Miło było na kilka godzin stanąć na lądzie. Mimo olbrzymich rozmiarów luksusowego liniowca, na pokładzie Robin czuła się trochę uwięziona. A pierwsza z zaplanowanych jednodniowych wycieczek miała się odbyć dopiero za kilka dni. Dlatego chętnie skorzystała z okazji, by stanąć na ziemi.

Po wylądowaniu grupa udała się za oficerem, słuchając wykładu o morskich stworzeniach zamieszkujących płytkie baseny przyływowe pomiędzy skałami. Gdy marynarz skończył, pasażerowie rozproszyli się po terenie. Robin, zaabsorbowana basenami, straciła poczucie czasu. Wspięła się za skały i poszła w głąb wyspy, z zapartym tchem śledząc poczynania małych żyjątek.

Gdy usłyszała róg sygnalizacyjny, zaskoczona stwierdziła, że odeszła dużo dalej niż inni. Chwyciła torbę i pobiegła, gramoląc się na zasłaniające widok, sterczące skały. W pośpiechu potknęła się i upadła, raniąc stopę o ostre muszle zatopione w skale, przez co straciła jeszcze więcej

czasu. Gdy wreszcie dotarła do miejsca, w którym zeszli na ląd, z przerażeniem dostrzegła, że szalupa już odbiła od brzegu i szybko znikwała za horyzontem.

- Niiieeee! - krzyknęła, podskakując. - Wracajcie! Na pomoc! - Pobiegła wzdłuż brzegu, machając rękami i nawołując, ale nikt jej nie zauważył.

No tak. Statek miał sztywny harmonogram i pasażerów często upominano, że przypływ na nikogo nie czeka, i jeśli ktoś nie zastosuje się do rozkładu zajęć, może pozostać na brzegu. Nie mieli jej nawet na liście zwiedzających wyspę, więc czemu mieliby na nią czekać?

Rozejrzała się po rajskim krajobrazie. Lekko zakręcający brzeg białej, czystej plaży, gęsta, intensywnie zielona, tropikalna roślinność na tle lazurowego, bezchmurnego nieba, obmywająca brzeg chłodna woda z koronką piany. Niestety, nie była akurat w nastroju, by podziwiać piękno przyrody. Usiadła na piasku i rozpłakała się ze złości na samą siebie. Zachowała się niewybaczalnie głupio.

Przynamniej wiedziała, że ktoś mieszkał na tej wyspie. Jeśli tylko znajdzie odwagę, by tego kogoś poszukać. Nie była rozbitkiem na bezludnej wyspie, zmuszonym do samodzielnej zdobywania pożywienia. Jeżeli ktoś tu mieszkał, musiał mieć jakiś kontakt ze światem zewnętrznym. Gdyby dostała się do telefonu albo radiostacji, mogłaby połączyć się ze statkiem i dowiedzieć się, co robić, żeby wrócić na pokład.

Wstała i ruszyła w głąb wyspy. W końcu nie było powodów do paniki. Poradzi sobie na pewno. Była tylko szczęśliwa, że żaden z braci nie wiedział o jej przygodzie. Gdyby kiedykolwiek się dowiedzieli, mieliby pewny dowód, że nie wolno spuszczać jej z oka.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Steve mieszkał na wyspie już od tygodnia i musiał przyznać, że nie miał wcale ochoty powracać do cywilizacji. Nie zdawał sobie sprawy z tego, jak bardzo obciążała go praca, dopóki tu na wyspie nie zaczął żyć w rytmie wschodów i zachodów słońca. Wstawał o świcie, spędzał cały dzień pływając, czytając lub drzemiąc, a kładł się krótko po zachodzie słońca. Tak powinien żyć człowiek, pomyślał, w zgodzie z rytmem natury. Jadł, kiedy był głodny, spał, kiedy miał na to ochotę i ani razu nie spojrział jeszcze na zegarek.

Plan dnia był prosty. O świcie stawał na brzegu, by podziwiać wschód słońca. Potem kapał się w lagunie, pobudzając apetyt na śniadanie. Po posiłku zwiedzał wyspę, codziennie nowy kawałek. Znajdował ukryte wodospady i małe oczka wodne obrośnięte paprociami, ślady zwierząt, dziko rosnące owoce. Pierwszy raz, odkąd pamiętał, budził się szczęśliwy, że nadszedł kolejny dzień.

Wspinając się z lornetką w dłoni na wysokie wzniesienie na północy wyspy, pomyślał, że ma wobec Eda prawdziwy dług wdzięczności.

Zatrzymał się, dostrzegając coś na horyzoncie. Uniósł do oczu lornetkę i uśmiechnął się. Oto pierwszy znak cywilizacji - pasażerski liniowiec. Przypomniawszy sobie, że Ed

wspominał coś o układzie z jedną z linii turystycznych. Pozwalał gościom na kilka godzin odwiedzać wyspę, co parę tygodni. Zaciekało go, czy już tutaj byli, czy dopiero miał się ich spodziewać. Przebiegł wzrokiem po plaży, ale na pierwszy rzut oka nikogo nie spostrzegł. Wycelował lornetkę ponownie na morze, szukając tańczących delfinów, i dopiero gdy opuszczał szkła, kątem oka dostrzegł ruch na plaży. Nastawił ostrość. Tam, na brzegu, twarzą ku wodzie, stała wysoka, szczupła dziewczyna w szortach, bluzce bez rękawów, ze słomkowym kapeluszem na głowie. U jej stóp leżał tobołek. Wyglądała jak obraz nędzy i rozpaczy.

Przyjrzał się raz jeszcze statkowi i zauważył dobijającą do niego szalupę. Z tej perspektywy, z punktu wysoko nad lądem i wodą, sytuacja była oczywista. Kobieta spóźniła się na łódkę. Została porzucona na wyspie.

Zdziwiło go, że wcale nie był aż tak bardzo poirytowany myślą o intruzie. Jak Adam w raju, zaczynał czuć się trochę samotny, co uświadomił sobie dopiero teraz, widząc nieszczęśliwą kobietę na plaży. Smużki dymu z kominów liniowca przesunęły się tymczasem za horyzont i znikły z pola widzenia. Miał przed sobą prawdziwego rozbitka.

Jak gdyby czując na sobie jego wzrok, odwróciła się i przeczesła spojrzeniem wyspę. Gdy uniosła głowę, mógł wreszcie zobaczyć jej twarz - młodą, kształtną twarzyczkę o delikatnych rysach. Na ten widok serce załomotało mu w piersi jak bęben wojenny tubylców. A to nie był dobry znak. Nigdy dotąd nie reagował na widok atrakcyjnej kobiety tak silnie. No, ale w końcu nigdy nie był sam aż tak długo!



Stwierdzenie, że wyglądała jak anioł, byłoby banalne, ale taka właśnie myśl przyszła mu do głowy. Delikatna opalenizna nie ukrywała jasnej karnacji. Wokół uszu i po policzkach spływały rude kędziory. Nie widział z tej odległości koloru oczu, ale były jasne i zdawało się, że roniły właśnie rzęsiste łzy. Usiadła zagubiona. Ani chybi, niewiasta w potrzebie.

No, Steve, chłopie, masz okazję zagrać bohatera.

Przez chwilę zwątpił, czy naprawdę chce ryzykować spokój wyspiarskiej egzystencji dla tak atrakcyjnej kobiety. Wiódł tutaj proste życie. Golił się, kiedy broda zaczynała drapać, nie nosił nic prócz kąpielówek i nie musiał liczyć się z cudzymi kapryсами. A z doświadczenia wiedział, że im kobieta ładniejsza, tym bardziej oczekuje spełniania swoich zachcianek. Miał szczerą nadzieję, że ta tutaj nie okaże się jakąś primadonną, która będzie wyładowywać na nim swoją frustrację. Już sam fakt, że spóźniła się na łódkę, wskazywał, że mało przejmowała się zasadami.

Westchnął. Mimo wszystko, nie mógł jej tam zostawić. Nie ma co zwlekać, trzeba się objawić. Ale do tej części wyspy nie było prostej drogi, musiał najpierw wrócić po własnych śladach do centralnej części małego lądu, a potem ruszyć plażą wzdłuż brzegu. Ale to nie szkodzi. Nie było pośpiechu, dziewczyna z całą pewnością nigdzie nie ucieknie.

Robin czuła się jak idiotka. Jak mogła nie zauważyć, że odeszła tak daleko? I stracić rachubę czasu? I jeszcze być taką fajtłapą, żeby się przewrócić? Powlokła się

w cień gęstych drzew i usiadła. Musiała przemyśleć sytuację i zdecydować, co robić. Zdjęła kapelusz, otarła rękami czoło i zapłakaną twarz. Mogła winić tylko samą siebie.

Zresztą, mogło być gorzej. Po pierwsze: nie groził jej mróz, a po drugie: mimo docinków Cindi, że wybiera się jak na sześciotygodniowe safari, zabrała ze sobą trochę rzeczy, które mogą się przydać.

Otworzyła torbę i po kolei wszystko wyjęła. Okulary przeciwsłoneczne i krem do opalania, bez którego nigdzie się nie ruszała. I tak zdążyła już się opalić. Szkoda, że tylko Cindi mogła to docenić. Była zawsze możliwość, że w którymś porcie spotka wysokiego, smagłego nieznanego, który - cały czas podziwiając jej kuszącą opaleniznę - pokaże jej wszystkie rodzaje grzesznych rozkoszy, których dotąd broniła jej nadopiekuńcza rodzinka. Ale teraz już nie miała szansy spotkać kogokolwiek. Jeśli dobrze pamiętała rozkład, statek będzie wracał dopiero za tydzień. A jeśli w drodze powrotnej nie zatrzyma się przy wyspie? A jeśli będzie musiała zostać tu na zawsze?

W porządku, „na zawsze” to za dużo powiedziane, pomyślała. Nie ma powodów do paniki. Przecież gdzieś tu na wyspie znajduje się dom. Jeśli jest dom, to pewnie będą i ludzie, prawda? A ona zastuka do drzwi jak Czerwony Kapturek - czy to była Złotowłosa? - i poprosi o pomoc. Nie było innego wyjścia.

Znowu sięgnęła do torby. Koszula, którą miała w szalupie, zwinięta w kłębek, spodnie, kurtka i drugi strój kąpielowy. Świetnie - żadnej bielizny. Szczotka do włosów, grzebień i kosmetyczka. Na dnie torby znalazła jabłko,

śliwkę, dwie pomarańcze, dwa batony i butelkę wody. To utrzyma ją na nogach przynajmniej przez jakiś czas.

Popatrzyła na słońce. Zdecydowanie chyliło się ku zachodowi. Z westchnieniem rezygnacji dźwignęła się na nogi, otrzepała z piasku, nałożyła kapelusz i zarzuciła torbę na ramię.

Da sobie radę. Jest silna. Jest samodzielna.

Podniesiona trochę na duchu, ruszyła na południe, na spotkanie nieznanego. I wtedy dostrzegła jakiś ruch w od-dali.

Ktoś szedł długimi krokami po paśmie twardego piasku tuż przy skraju wody. Przez chwilę poczuła nieodpartą chęć ukrycia się w zaroślach, ale rozsądek przeważył. Po pierwsze, widział ją i właśnie ku niej zmierzał, a po drugie, naprawdę potrzebowała pomocy.

Chwyciła ciemne okulary i założyła je prędko, czując się pewniej. Matka zawsze mówiła, że w jej oczach odbijały się wszystkie myśli, a nie miała ochoty zdradzać ob-cemu, o czym teraz myślała. Zwłaszcza na jego temat.

Zbliżył się, a puls Robin zabił mocniej. Jeśli był to typowy przedstawiciel tubylców, mogła powiedzieć tylko „O, raju!”. Miał na sobie jedynie spłóviałe spodenki kąpielowe, uwydatniające muskularne kształty. Był mocno opalony, aż zbrązowiwały od słońca. Szerokie barki przechodziły w wąską talię i... I znów gapiła się na okrywający go skrawek materiału. Szybko przesunęła wzrok niżej, wzdłuż umięśnionych nóg. Zauważyła, że nosił marynarskie buty.

- Wygląda pani na zagubioną - usłyszała, gdy zatrzymał się przed nią. Nadal gapiła się na niego w podziw.

Nawet się nie poruszyła, odkąd go ujrzała. Przyjaciółki często żartowały, że Robin dorastała z trzema przystojnymi braćmi, dlatego niełatwo było mężczyznom wyrzucić na niej wrażenie. Więc co się teraz z nią działo?

Z bliska widziała, że to był mężczyzna, nie chłopak. Wyglądał na trzydzieści kilka lat. Życie przyniosło mu delikatne zmarszczki wokół oczu i ust. Ciemne oczy były zmrużone. Czarne włosy kręciły się chłopięco, ale na twarzy widniała powaga człowieka, który nieczęsto się uśmiecha.

Uśmiechnęła się sama do niego, chcąc rozładować napięcie.

- Właściwie nie zagubiona. Zostawiona na brzegu.

Skinał głową ku falom.

- Przypląnęła pani na tym liniowcu?

- Tak.

- I nie zdążyła na szalupę.

- Pewnie przytrafia się to co jakiś czas - powiedziała, a jej uśmiech bladł powoli, gdyż obcy go nie odwzajemnił. Stał z rękami na biodrach i przyglądał jej się tak, jakby była niezidentyfikowanym, wyrzuconym przez fale przedmiotem. Nie była przyzwyczajona do takich spojrzeń, do takiej zrównoważonej obojętności. Nie, żeby była próżna, ale faceci zawsze się za nią oglądali. Dlatego właśnie bracia tak jej pilnowali. A teraz, gdy była wolna od braterskiego nadzoru, okazało się nagle, że ten mężczyzna wcale się nią nie interesuje. To okropne, pomyślała.

Patrzył na nią, wyraźnie na coś czekając.

- Zdaje mi się... pan chyba jest właścicielem tej wyspy

- wybąkała w końcu.

- Nie - zaprzeczył. - Tylko gościem.
- Aha. A czy ma pan może telefon, z którego mogłabym skorzystać?

Uśmiechnął się krzywo. O Boże, dlaczego on się jej tak podobał! Zabójczy uśmiech zadziałał z podwójną mocą, bo użył go po raz pierwszy.

- A do kogo chce pani zadzwonić?

Dobre pytanie.

- Chciałabym skontaktować się ze statkiem. Muszę przynajmniej dać znać osobie, z którą dzielę pokój, że się nie utopiłam. A potem może wymyślę, co robić.

Odwrócił się i ruszył z powrotem wzdłuż plaży.

- Jasne. Proszę za mną. Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciw dłuższej przechadzce. Dom jest na drugim końcu wyspy.

Nie obejrzał się nawet, czy ruszyła za nim, co uznała za dość niegrzeczne. Ale to nie był dobry moment, żeby uczyć go manier. Podbiegła, aby się z nim zrównać.

- Długo pan tu mieszka? - zapytała, chcąc okazać uprzejme zainteresowanie.

- Nie.

Czekała, ale nie powiedział nic więcej. Szli jakiś czas w milczeniu, aż odezwała się znowu:

- Nie jest pan rozmowny, co?

Nie wstrzymując kroku i nie patrząc na nią, rzekł:

- Przyjechałem tu, żeby być z dala od ludzi.
- Aha.

Po kilku minutach dodała:

- Bardzo mi przykro, że sprawiam kłopot.
- Nie sprawia pani.

Może i nie, ale było oczywiste, że jej obecność na wyspie nie była dla niego spełnieniem marzeń. Przynajmniej tyle mieli wspólnego.

Narzucił zabójcze tempo marszu. Zanim dotarli do ścieżki u stóp wzniesienia, na którym stał dom, Robin dyszała ciężko, ale upór nie pozwolił jej prosić mężczyznę, aby zwolnił. Kiedy znaleźli się na szczycie, popatrzyła z podziwem na budynek. Był parterowy, ale naśladując linię klifu, łamał się pod różnymi kątami. Widok z olbrzymich okien musiał być wspaniały. Ktokolwiek zbudował ten dom, musiał mieć mnóstwo pieniędzy.

Ujrawszy obszerne patio z wygodnie wyściełanymi krzesłami przy niskich stolikach, omal nie opadła natychmiast na jedno z nich z westchnieniem ulgi. Ale zamiast tego popatrzyła na przewodnika, oczekując na następny ruch. Nie czekała długo.

- Czy zna pani numer telefonu na statek? - zapytał. Dlaczego wciąż czuła się przy nim jak kompletna idiotka?

- Właściwie nie, nie znam.

Zmarszczył brwi i podszedł bliżej, zaglądając pod rondo jej kapelusza.

- Proszę usiąść, zanim się pani przewróci. Jest pani ewidentnie przegrzana.

Przyszło jej do głowy parę, oczywiście sarkastycznych, odpowiedzi, ale posłusznie usiadła. On tymczasem zniknął w drzwiach. Robin oparła głowę o puszysty zagłówek krzesła i zamknęła oczy. Gdyby miesiąc temu ktoś jej powiedział, że wakacyjny rejs z Cindi zakończy na tropikalnej wyspie, w towarzystwie mężczyzny, którego

uśmiech sprawiał, że kolana się pod nią ugiwały, nigdy by nie uwierzyła. A przecież fantazjowały o wymarzonych mężczyznach! Jacy będą, jak one zabiorą się do ich uwodzenia i jak w końcu złamią im serca, bo - mimo wszystko - szukały tylko wakacyjnego flirtu. Niczego poważnego.

A teraz siedziała w domu mężczyzny żywcem wyjętego z ich marzeń i nie miała pojęcia, jak się zachowywać, tak bardzo czuła się zakłopotana! Zepsuła facetowi cichy, spokojny urlop. Powinna jak najszybciej wrócić na statek. Chyba pozwoli jej skorzystać z jakiejś łódki. Jak dotąd był uprzejmy. Minimalnie uprzejmy. I więcej chyba nie mogła wymagać.

Usłyszała odgłos przesuwania oszklonych drzwi. Wybawca powrócił, wiodąc za sobą ogromnych rozmiarów kobietę, niosącą tacę z oszronionym, wilgotnym dzbanem.

- Proszę bardzo, panienko - powiedziała kobieta, stawiając tacę na stole i podając Robin wysoką szklanekę, wypełnioną różowym płynem z kostkami lodu. Robin upiła trochę i westchnęła z rozkoszą. Sok z przetartych owoców był właśnie tym, czego potrzebowała.

- Dziękuję pani bardzo - powiedziała ze szczerą wdzięcznością. Kobieta uśmiechnęła się i wyszła.

- Powinniśmy się sobie przynajmniej przedstawić - powiedział mężczyzna, siadając naprzeciw - skoro zanosisz się na to, że będziemy żyć ze sobą przez parę dni.

Na nieszczęście brała akurat wielki łyk soku, bo zakrztusiła się, opryskała bluzkę i zanosła się kaszlem. Mężczyzna poderwał się i z rozmachem klepnął ją po plecach.

- Proszę - udało jej się wykrztusić - już dobrze.

Wcale nie było dobrze, ledwo co mówiła przez ściśnięte gardło.

Usiadł naprzeciw, przyjrzał się jej znów badawczo i w milczeniu podał ręcznik. Udało się jej odstawić szklankę bez rozlewania. Przyjęła ręcznik, otarła łzy z oczu i nadmiar soku z bluzki.

- Już w porządku? - zapytał, obserwując ją bacznie.

No, pięknie! - pomyślała. Ale się popisałam.

- Co masz na myśli, mówiąc „będziemy żyć ze sobą”?  
- wydusiła.

Znów skrzywił się w uśmiechu. To nie było fair. Naprawdę, uśmiech miał zabójczy.

- Spokojnie, nic nie miałem na myśli. To jedyny dom na wyspie, więc nie masz wielkiego wyboru. Ale nie martw się, jest tu sześć sypialni, a poza tym możemy uznać Carmelę i Romana za przyzwoitki, jeśli martwisz się kompromitującą sytuacją.

Usiłowała odzyskać godność, co w tej sytuacji nie było łatwe.

- Nie martwię się. Chyba miałam nadzieję wydostać się z tej wyspy przed nocą.

- Bez szans. Romano mógłby zabrać cię rano na Świętego Tomasza, ale nie mam pojęcia, jak stamtąd dogonisz statek. Czy miał się tam zatrzymywać?

- Chyba w drodze powrotnej - odparła zmieszna.

Wyciągnął rękę.

- Jestem Steve Antonelli z Los Angeles.

Robin z wahaniem podała mu dłoń.

- Robin McAlister, z Teksasu.

- Że z Teksasu, to już wiem.



Uniosła brwi.

- Skąd?

- Ze sposobu, w jaki mówisz. Mam sąsiadkę z Teksasu, mówisz bardzo podobnie.

Robin chciała cofnąć rękę z jego uścisku. Puścił od razu.

- Powiedziałaś, że chcesz się skontaktować z towarzyszem z kajuty. Dziwne, że nie zszedł na brzeg razem z tobą.

- Mój towarzysz z kajuty jest dziewczyną. Nie miała ochoty oglądać basenów - spojrzała na swoje dłonie splecione na kolanach. - Teraz żałuję, że ja sama miałam.

- Chodź, wejdzmy do domu. Zobaczę, co da się zrobić.

Skinęła głową. Poprowadził ją do obszernego salonu z oknami zajmującymi całe dwie ściany. Widok był przepiękny, przez otwarte okna wpadała rześka bryza. To było wspaniałe miejsce.

- Masz fantastyczny dom - powiedziała, przyciskając tobołek do piersi. Obróciła się wkoło. Przez łukowate przejście w głąb widziała jadalnię, wzdłuż czwartej ściany ciągnął się korytarz, wiodący do innego skrzydła.

- Należy do mojego przyjaciela. Mam szczęście, że mogę się tu zatrzymać.

- Jasne!

- Przepraszam cię, pójdę po telefon. Usiądź sobie - poleciał i wyszedł.

Spojrzała na rattanowe meble, wyłożone ślicznymi, drukowanymi poduszkami, i stwierdziła, że nie chce pobrudzić ich piaskiem albo resztkami lepkiego soku. Zdjęła kapelusz i ostrożnie ułożyła go na stole. Spojrzała w lu-

stro: nos miała czerwony jak marchew, z warkocza wysypało się więcej włosów, niż zostało w samych splotach, a ubranie było wręcz nieprzyzwoicie przemoknięte. Nic dziwnego, że facet nie wydaje się nią zainteresowany. Cindi umarłaby ze śmiechu, gdyby widziała to spotkanie!

Odwróciła się od lustra. Wołała nie patrzeć na siebie. Podeszła do okna i zapatrzyła się tak, że nie usłyszała nawet wchodzącego do pokoju Steve'a, dopóki się nie odezwał:

- Proszę bardzo. Mam tu na linii oficera ze statku.

Przyjęła telefon z wdzięcznością. Wytłumaczyła, kim jest i co się wydarzyło, zapytała, co robić, żeby dostać się z powrotem na pokład. Serce w niej zamarło, gdy usłyszała odpowiedź. Przesłała jeszcze wiadomość dla Cindi, podziękowała oficerowi i rozłączyła się. Steve wyszedł już wcześniej do kuchni, by mogła swobodnie rozmawiać, więc odłożyła telefon na szklany blat stolika i z wysiłkiem powstrzymywała łzy. Oczywiście nie była zaskoczona, że statek nie zawróci, aby ją zabrać, rozumiała, że muszą trzymać się rozkładu. Ale dopiero po tej rozmowie dotarło do niej, że naprawdę jest tu pozostawiona sama sobie, z obcym mężczyzną, dla którego jest w najlepszym razie utrapieniem.

Steve wrócił, gryząc kawałek owocu.

- I co? Wszystko w porządku?

Przełknęła kulę, którą poczuła w gardle.

- Niezupełnie.

- Nie mogą cię zabrać? - nuta współczucia w jego głosie sprawiła, że omal nie wybuchnęła płaczem.

- Nie mogą. Mają bardzo napięty rozkład. Zasugero-

wali, żebym czekała na Wyspie Świętego Tomasza, jak będą wracać na północ. To za pięć dni - spojrzała na tobołek. Pięć dni. Jak da sobie radę przez pięć dni, mając tylko to, co w torbie? Zagryzła wargę. - Mówiłeś, że ktoś mógłby mnie zawieźć na Świętego Tomasza?

Skinął głową.

- Romano może cię zabrać, kiedy tylko będzie trzeba - przerwał na chwilę, zastanawiając się nad czymś.  
- Nie chciałbym być wścibski, ale czy masz jakieś pieniądze?

O nie! Tak się przejmowała ciuchami, że nie pomyślała nawet o braku gotówki. Potrząsnęła smutno głową.

- Obawiam się, że nie. Zostawiłam portmonetkę i wszystkie cenne rzeczy na statku. Czy mogłabym jakoś przesłać Romanowi pieniądze po powrocie do domu?

Steve chrząknął. Drgnęły mu usta, jakby powstrzymywał uśmiech.

- Nie myślałem o Romanie. On pływa tam regularnie, więc nic od ciebie nie weźmie. Zastanawiam się tylko, jak sobie poradzisz, czekając na statek albo próbując dostać się do samolotu. Jeżeli nikt nie może przesłać ci tam pieniędzy, będziesz musiała zostać tutaj do czasu, aż przyplynie statek.

Na pewno pomyślał o niej, że jest strasznie roztrzępana i, oczywiście, miał rację. Gdyby zadzwoniła do rodziców, pieniądze i bilety już by na nią czekały. Ale musiałyby powiedzieć im, co się stało. A tego nie mogła zrobić. Gdyby się dowiedzieli, że została sama na wyspie na Karaibach! Wołała już zostać tutaj na parę dni.

- Nie, wołałabym raczej nie powiadamiać rodziców.

Bardzo by się zaniepokoiili, a nie ma takiej potrzeby, jeżeli... no, jeżeli pozwolisz mi tutaj zostać.

- Wciąż mieszkasz z rodzicami? - zapytał lekko napiętym głosem.

- Jestem na ostatnim roku college'u w Austin. Moi rodzice mają ranczo niedaleko.

-- Aha, studentka. To twój pierwszy rejs?

Przytaknęła.

- I ostatni. Nigdy nie myślałam, że dostanę klaustrofobii na tak wielkim statku - westchnęła. - Muszę przyznać, że dużo bardziej wolę stać na ziemi, choć wiem, że sprawiam ci kłopot.

- Nie przejmuj się, to żaden kłopot.

- Nie będę przeszkadzała, obiecuję. Nie będziesz nawet wiedział, że tu jestem.

- Nie ma sposobu, żebym nie wiedział, że tu jesteś - roześmiał się. - Ale nie obawiaj się, obiecuję, że będziesz ze mną całkowicie bezpieczna.

- Co robisz, jak nie jesteś na urlopie? - ciekawość wzięła w niej górę nad wychowaniem.

-- Jestem gliną.

Otworzyła szeroko oczy.

- Naprawdę? Super! Nigdy jeszcze nie poznałam policjanta.

- Nie będę cię zanudzał opowieściami. Przyjechałem tu, bo chcę zapomnieć o tym wszystkim. Między innymi dlatego.

- Rozumiem. A długo jesteś policjantem?

- Wystarczająco - odparł krótko.

Ewidentnie nie miał ochoty o tym rozmawiać. Nie mia-

ła zresztą nic przeciwko temu. Zastanawiała się tylko, ile może mieć lat. Wyglądał na trzydzieści kilka, byłby więc co najmniej dziesięć lat starszy od niej. Oczywiście nic w tym złego. Jej tato był dziesięć lat starszy od mamy i stanowili wspianały związek.

O rany, dlaczego myślę o czymś takim? Na razie nic nie wskazywało na to, żeby był nią zainteresowany. Jego pobłażliwa wyrozumiałość wobec niej przypominała sposób, w jaki traktował ją brat, Jason. Ale był bardzo atrakcyjny i miała nadzieję, że ona też mu się spodoba, skoro już tu z nim zostaje... Ojciec i bracia wściekliby się na ten pomysł! Rozbawiła ją strasznie ta myśl.

- Może pokażę ci twój pokój? - zapytał Steve i zdała sobie sprawę, że od kilku chwil pogrążyła się w rozmyśleniach. - Na pewno chcesz się umyć i odświeżyć. - Popatrzył na jej torbę. - Masz jeszcze jakieś ubranie?

- Trochę, niewiele. Miałam być na łądzie tylko kilka godzin.

Uśmiechnął się i odwrócił. Podążyła za nim na korytarz.

- Może odpoczniesz przez chwilę? Jeśli zaśniesz, obudzę cię na obiad. Carmela wspianiale gotuje. Mam nadzieję, że się zadomowisz.

Zrobiło jej się lżej na sercu. On naprawdę był bardzo miły. Może wszystko się jakoś ułoży.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Steve zatrzymał się w długim korytarzu, otworzył drzwi i odsunął się na bok.

- Myślę, że znajdziesz wszystko, czego ci trzeba - skinął ku jej zranionej kostce i stopie. - Zadrapania wyglądają nie najlepiej. Przyniosę ci maść z antybiotykiem.

Zdumiona spojrzała w dół.

- Przez to wszystko zapomniałam o nodze - rozejrzała się po pomieszczeniu. - To chyba sypialnia właściciela?

- Jeden z pokoi gościnnych. Zapytam Carmelę, czy nie znajdzie dla ciebie jakichś ubrań.

Zamknął za nią drzwi i zmusił się, by odejść, a nie uciec biegiem. Nie miałby nic przeciwko towarzystwu przez kilka dni, ale ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował, była uczennica z twarzą i ciałem jak z okładki męskiego magazynu, rzucająca spojrzenia niewinnej sarenki. Ray pękałby ze śmiechu.

Znalazł Carmelę w kuchni, zajętą gotowaniem obiadu.

- Pewnie się domyślałeś, że będziemy mieli dodatkowego gościa na kilka dni.

Carmela roześmiała się.

- To dobrze, że nie będziesz sam tyle czasu. To bardzo ładna dziewczyna.

- Zauważyłem.

Zaśmiali się oboje.

- Zastawiałem się, czy nie zostały tu jakieś kobiece ubrania. Ona ma ze sobą tylko to, co w torbie, a to za mało.

- Chyba coś dla niej znajdę. Pani Kovolska jest niższa, ale obie są szczupłe. Zobaczę.

- Dziękuję.

Udał się do łazienki po maść z antybiotykiem. Udawał, że nie dostrzega, jak serce cały czas bije mu w przyspieszonym tempie. Była niezwykle atrakcyjna, ale najlepiej zapamiętał jej oczy: wielkie, szmaragdowozielone, obramowane grubymi, ciemnymi rzęsami, z wyrazem ufnej niewinności, od której miękło mu serce. Przypominała mu dopiero co wyklute z jajka pisklę, zdumione nowym otoczeniem, ale usilnie starające się to ukryć.

Kiedy się uśmiechała, robiły się jej nieznaczne dołeczki w policzkach. Mało się uśmiechała, ale rozumiał, że znalazła się w bardzo niezręcznej sytuacji, w której nawet wytrawny podróżnik nie czułby się najlepiej.

Zaciekawiło go, że nie chciała kontaktować się z rodziną. Zastanowił się nad możliwym powodem. Właściwie przychodziło mu do głowy mnóstwo intrygujących pytań na jej temat. Na pewno z przyjemnością pozna ją lepiej.

Poczuła się o wiele lepiej, gdy wyszła spod prysznicza, odświeżona i owinięta ręcznikiem. Wytarła włosy, rozczesała, po czym rozejrzała się za suszarką. Odnalazła ją na półce pod zlewem. W takich chwilach wdzięczna była losowi za naturalnie kręcone włosy. Nim skończyła je suszyć, spływały falami wokół twarzy na szyję i ramiona.

Otworzyła drzwi do sypialni. Carmela musiała tu być, kiedy ona się kąpała, bo na łóżku leżały ubrania i tubka maści. Usiadła na brzegu łóżka i obejrzała stopę. Zdrapanie już nie krwawiło, ale było zaognione i bolesne. Posmarowała ranę kojącą maścią, a potem wstała i przejrzała stosik odzieży. Wpadła jej w oko luźna suknia z szerokimi rękawami, przypominająca kimono. Narzuciła je na siebie. Mieszanina barw - pomarańczy, złota i rdzy - świetnie pasowała do jej włosów. Dekolt był głęboki, a całość trochę za krótka, ale musiało wystarczyć. Było jeszcze kilka koszulek bez rękawów i mocno sprane szorty, które powinny pasować. Na samym dole odkryła nocną koszulę z miękkiej bawełny. Poza tym może dać swoje rzeczy do wyprania i używać na zmianę. Wyciągnęła się na łóżku, idąc za radą Steve'a. Po chwili zapadła w sen.

Dwie godziny później Steve zastukał do Robin. Po chwili oczekiwania cicho uchylił drzwi i zajrzał do środka. Oczom jego ukazała się Śpiąca Królowna w zwiewnej sukni, z włosami rozsypanymi na poduszce. Jedwabście gładką skórę lekko pozłociło słońce. Zbliżył się do niej ukradkiem. Zdał sobie sprawę, w jakiej niesamowitej znaleźli się sytuacji. Żaden prawdziwy mężczyzna nie pozostałby obojętny na piękno dziewczyny, ale Steve'a najbardziej rozpałała jej świeżość i niewinność. Zdażył już zapomnieć, że takie rzeczy istnieją. Zdecydowanie za długo był na służbie.

Cienki materiał kimona zsunął się z delikatnie opalonego ramienia i odsłonił kawałek piersi. Kiedy ją pierwszy raz zobaczył przez lornetkę, miała na sobie chyba kostium kąpielowy. Pewnie nosiła go zamiast bielizny. Ale teraz



pod wschodnią szatą nie miała zupełnie nic. Ciekawe, jak długo będzie walczył ze sobą, żeby nie wracać do tego myślami.

- Robin?

Poruszyła się.

- Hmm?

- Obiad gotowy. Pewnie już zdążyłaś zgłodnieć.

Otworzyła oczy, spojrzała na niego półprzytomnie, po czym otrząsnęła się i natychmiast usiadła.

- Och, przepraszam. Nie chciałam zasnąć.

- Nie ma sprawy. Spotkamy się w jadalni.

Zrobił w tył zwrot i czmychnął z pokoju, uchodząc przed przemożnym pragnieniem, by całować budzącą się piękność, aż rozplynie się w jego ramionach.

Robin ziewnęła, przeciągając się rozkosznie. Mogłaby tak spać do rana. Wyśliznęła się z łóżka, chwyciła szorty i koszulkę i poszła do łazienki. Tam wygrzebała z torby drugi kostium kąpielowy, bardzo skąpe bikini. Kupiła je bez zastanowienia, ale potem na statku nie odważyła się założyć. Włożyła je i spojrzała w lustro.

Góra była tak zaprojektowana, by uwydatniać piersi, podnosząc je i wypinając. I jeszcze majteczki. Mmm, dół kostiumu sięgał bardzo wysoko na biodra, odsłaniając oczywiście sporo po bokach. Ubrała się we wszystkie przygotowane ciuszki, przejechała szczotką po włosach, uszminowała lekko usta i opuściła sypialnię.

Zastała Steve'a w jadalni. Zapalał wysokie, smukłe świece na małym stoliku przy łukowatym oknie. Wokół świecznika wiła się kompozycja z żywych, pachnących tropikalną słodyczą, złotych kwiatów. Na jaskrawopoma-

rańczowych, plecionych podkładkach po obu stronach stolika spoczywały wielobarwne naczynia. Zatrzymała się pod łukiem drzwi, trochę zaskoczona myślą, że zje obiad z tym czarującym facetem. Jego ciemna skóra lśniła w świetle świec. Biała koszulka bez rękawów kontrastowała z głęboką opalenizną i czarną czupryną. Ubranie nie ukrywało silnie rozwiniętych mięśni.

- To wygląda tak bajkowo, że nie jestem pewna, czy wciąż nie śnię - powiedziała.

Podniósł na nią wzrok.

- Jeśli to pożyczone ubrania, to leżą doskonale - stwierdził.

Oblała się rumieńcem.

- Tak, pożyczone. Moje własne miały ciężki dzień.

- Carmela może ci je wyprać.

- Nie chcę jej robić kłopotu.

- Wcale tak tego nie odbierze.

Rozmawiali swobodnie i lekko, ale świadomość, że mimo wszystko byli sobie obcy, wprowadzała nieuchronnie trochę napięcia.

- Proszę - odsunął dla niej krzesło - usiądź tutaj.

Okna jadalni wychodziły na patio. Wolno kręcący się wiatrak chłodził powietrze nad stolikiem. Schłodzone wino spoczywało w wiaderku z lodem, a pokrajane różnokolorowe owoce ułożono w misie z artystycznym smakiem. Na dwóch wielkich talerzach piętrzyły się stosy pieczonej ryby i ryżu.

- O rany - westchnęła - jadasz tak każdy posiłek?

Uśmiechnął się.

- Tak, w zasadzie tak. Carmela to najlepiej strzeżony

sekret właściciela. Mogłaby zarobić krocie jako szefowa kuchni w Stanach.

Usiadłszy naprzeciw niej, Steve napełnił kieliszki winem i nałożył sałatkę do miseczek. Jedli przez chwilę w milczeniu. Nie zdawała sobie sprawy, jaka była głodna, dopóki nie zaczęła jeść.

- Skoro będziemy tu razem przez jakiś czas, moglibyśmy się trochę poznać, nie uważasz? - zaproponował Steve.

- Jasne - uśmiechnęła się, ale nic więcej nie powiedziała.

- No to czemu nie zaczniesz pierwsza? - roześmiał się.  
- Jakie masz plany po ukończeniu college'u?

- Od dwóch lat współpracuję z agencją public relations w Austin, oferują mi tam stanowisko. Myślałam też, żeby ubiegać się o podobną pracę w amerykańskiej sieci hoteli; planowanie i organizacja konferencji, takie tam rzeczy - spróbowała wina. - A ty? Czym się zajmujesz?

- Pracuję w wydziale zabójstw.

- Naprawdę? To chyba ciężka robota.

Skinął głową.

- Bywa. Możesz wypalić się z pośpiechu. Prawie mnie to spotkało, chociaż nie zauważałem tego, póki nie przyjechałem tutaj. A teraz ciężko mi przychodzi myśleć o życiu, jakie mnie czeka w Kalifornii.

- Masz jakąś rodzinę? - zapytała, widząc, że nie nosi obrączki.

- Rodzice mieszkają w Santa Barbara, kilka godzin drogi od Los Angeles. Przez długi czas byłem jedynakiem. Siostra, Tricia, urodziła się, jak miałem jedenaście lat,

Scott kilka lat później. Bliźniaki, Todd i Greg, pojawili się jeszcze trzy lata potem.

- Trzech braci! - zawołała rozbawiona. - No to mamy coś wspólnego. Zawsze chciałam mieć siostrę, ale mama mówiła, że musi mi wystarczyć Cindi, wiesz, ta dziewczyna, z którą popłynęłam w rejs. Jest mi tak bliska jak siostra.

- Wyjechałem na studia, zanim bliźniaki wyszły z pieluch, właściwie nie traktuję ich jak braci.

Przyszła Carmela i zabrała naczynia przed kawą i deserem. Steve dostrzegł błysk w jej oku, gdy słuchała ich swobodnej rozmowy. Co mógł powiedzieć? Miewał dużo trudniejsze zadania niż zabawianie uroczej damy przy stole.

- A twoja rodzina? - spytał.

- Ojciec jest ranczerem. Mam dwóch starszych braci i jednego młodszego. Jestem bardzo blisko z mamą. Ludzie czasem biorą nas za siostry. Przed założeniem rodziny była modelką w Nowym Jorku.

- Muszę przyznać, że kiedy zobaczyłem cię na plaży, też pomyślałem, że jesteś modelką.

Jej oczy zaśmiały, posłała mu skromny uśmiech.

- Dziękuję, przyjmuję to za komplement.

Uniósł lampkę wina.

- Tak właśnie był zamierzony - pociągnął łyk. - Jesteś też blisko z braćmi?

- Bliżej, niż bym czasem chciała - odrzekła ze smutkiem. - Nie zrozum mnie źle, mam wspaniałą, kochającą rodzinę, tyle że czasem są aż za bardzo kochający. Moi bracia są przekonani, że nie poradzę sobie bez ich opieki.

Wolę nie myśleć, co by powiedzieli na to, że zgubiłam się sama na wyspie...

- Aha, to dlatego nie chciałaś dzwonić do domu - wyciągnął się na krześle z uśmiechem.

- Właśnie - zaniepokoił ją blask w jego oczach, gdy na nią patrzył. Zapytała o pierwszą rzecz, jaka jej przyszła do głowy:

- Długo jesteś policjantem?

- Skończyłem akademię osiem lat temu. W wydziale zabójstw siedzę od trzech lat.

- Twój ojciec też był policjantem?

Potrząsnął głową.

- Ojciec grał przed laty w drużynie baseballowej Atlanty. Przeszedł na emeryturę, gdy miałem piętnaście lat.

- Obawiam się, że nie znam się zbytnio na sporcie, a już szczególnie na baseballu. Moi bracia są fanami piłki nożnej. Czy ty też grałeś?

- Tak. Zamierzałem zająć się baseballlem zawodowo, ale na pierwszym roku studiów, po kontuzji ręki, musiałem pożegnać się z nadziejami na grę w pierwszej lidze. - Zanim mogła skomentować, mówił dalej. - Ed Kovolski, właściciel wyspy, grał z tatą w jednej drużynie, na wyjazdach spali zawsze w jednym pokoju. Ed zawsze był dla mnie bardziej wujkiem niż przyjacielem rodziny. - Popatrzył na jej kieliszek. - Jeszcze wina?

- Nie, dziękuję. Nie piję dużo - wyjrzała przez okno. - Popatrz, słońce zachodzi.

Steve wstał.

- Znam tu dużo lepsze miejsce do obserwacji zachodów słońca. Chcesz sprawdzić?

- Pewnie - zgodziła się.

Wyciągnął do niej rękę tak naturalnym gestem, że podała mu swoją bez wahania. Ręka jej drgnęła, ale on zdawał się niczego nie zauważać.

Poprowadził ją na zewnątrz, a potem ścieżką do drewnianej ławki z widokiem na zachód. Słońce tonęło szybko w falach oceanu, nadając wodzie jaskrawoczerwony kolor i malując niebo iście malarską paletą barw. Nieważne, ile razy Steve oglądał ten obraz, zawsze był równie zauroczony. Podczas pracy na nocnej zmianie rzadko widywał słońce. W dzień zresztą też. A teraz podziwiał codzienny spektakl barw i świateł w towarzystwie niezwykle atrakcyjnej dziewczyny. Doceniał jej milczenie, gdy tak siedzieli razem, aż noc zapanowała nad ziemią i wodą, a niebo rozświetliły tysiące gwiazd. W końcu wyprostowała się i westchnęła.

- Nic dziwnego, że tak ci się tutaj podoba.

- Tak. Cudowne ukojenie.

Wstała.

- Doceniam twoją gościnność, ale nie chcę zabierać ci więcej czasu. Chyba już pójde do łóżka.

- Żartujesz? Za wcześnie na spanie. Zwłaszcza po tej drzemce. Może byśmy zegrali w bilard albo w karty? Masz ochotę?

W mroku nie mógł dostrzec wyraźnie jej twarzy. Stała przodem do niego, z rękami założonymi z tyłu.

- Jesteś pewien? Poświęciłeś mi już bardzo dużo czasu. Nie chcę zawracać ci głowy.

Steve zdał sobie sprawę, że jej towarzystwo sprawia mu wielką przyjemność. Godziny mijały niezauważenie,

odkąd ją spotkał. Chciał pokazać jej wyspę, zabrać do miejsc, których sam jeszcze nie zwiedził.

- Nie zawracasz mi głowy, naprawdę. Przepraszam, jeśli wcześniej zachowywałem się jak gbur. Chodźmy do domu, pokażę ci salon gier - roześmiał się. - Wreszcie będę mógł się z kimś zmierzyć, do większości gier potrzeba dwóch osób.

Wziął ją pod ramię i pogładził kciukiem jej skórę. Zadrżała.

- Powiniennem był przynieść ci kurtkę - powiedział, obejmując ją ramieniem i przyciągając ku sobie.

- Nie wiedziałam, że tu jest stół bilardowy. - Zapierało jej dech w piersiach.

- Jest. Masz ochotę zagrać? - spytał, mając nadzieję, że dziewczyna nie słyszy gwałtownego łomotania jego serca.

- Pewnie.

Carmela zostawiła im lampę na tarasie, zanim poszła na noc do Romana. Byli teraz w domu zupełnie sami. Ale to bez znaczenia, pomyślał Steve, jest z nim całkowicie bezpieczna. Jeśli będzie to sobie często powtarzał, może nawet sam siebie o tym przekona.

- Dużo grałaś w bilard? - zapytał, prowadząc Robin do salonu gier.

Zachichotała.

- Tylko kiedy bracia mi pozwalali. Ale zawsze mi się podobało.

Skinał głową. Będzie się starał grać słabo, w końcu to ma być zabawa, a nie mordercza rywalizacja, jak wtedy, gdy grywał z Rayem. Uprzejmie otworzył przed nią drzwi.

- Pani przodem.

W dużym pokoju mieścił się stół bilardowy, stół do ping-ponga, osmiokątne stoliki do gry w karty i przeróżne gry, kości oraz żetony pokerowe.

- Zaczynaj - polecił.
- A nie powinniśmy...?

Przerwał jej ruchem ręki.

- Ty zaczynasz.

Wzruszyła ramionami, mówiąc:

- No dobrze, ale to niezupełnie w porządku.

Co za uczciwa postawa, pomyślał. Nie chciała zyskiwać przewagi. Gdyby tylko wiedziała, że na studiach więcej czasu poświęcał bilardowi niż nauce.

Robin zebrała kule w ciasny trójkąt, przymierzyła kij do strzału. Długie, mocne pchnięcie - i udało jej się umieścić w otworach dwie bile za jednym strzałem. Oczyściwszy stół z pełnych, zreżnie wstrzeliła ósmą kulę i zwróciła się do niego ze skruchą:

- Przepraszam. Nie miałeś okazji strzelić.

Roześmiał się.

- Nie przepraszaj. Rozegrałaś to wspaniale. Dalej, wciąż twoja kolej.

- Wiem, że takie są zasady, ale może teraz ty chcesz zacząć?

- Nie przejmuj się. Wkrótce się odegram.

Zanim dostał okazję, oczyściła jeszcze dwa stoły i zostawiła mu tylko dwie bile do czwartej gry. Była świetna. Miała pewną rękę, dobre oko i wyśmienitą formę. Trudno było mu skupić uwagę na grze; ona zdawała się nie wiedzieć, jak wygląda wyciągnięta nad stołem. Długie nogi ułatwiały jej wykonanie co dziwniejszych strzałów.



- Gdzie ty się nauczyłaś tak grać? - zapytał w końcu.
- Ojciec mnie uczył.
- Aha. - Zapamiętał sobie, żeby nigdy nie proponować jej ojcu gry w bilard.

Stracił poczucie czasu, zdecydowany wyrównać rachunek. Nigdy nie widział, żeby kobieta grała z taką koncentracją i kunsztem. Grywał z kobietami, którym bardziej zależało na ściąganiu uwagi niż na trafianiu w bile. Ale kiedy grała Robin, nie istniało dla niej nic poza kątem następnego strzału.

Dopiero potem zdał sobie sprawę, że prawie nie rozmawiali ze sobą. Raz poszedł do kuchni po piwo dla siebie i sok dla niej. Aż wreszcie uśmiechnęła się i powiedziała:

- Steve, naprawdę muszę się trochę przespać.

Zorientował się, że minęła już pierwsza w nocy.

- Trzy gry przede mną - powiedział żałośnie. - Jesteś dobra. Wiedziałaś o tym?

Uśmiechnęła się.

- Musiałam być dobra, żeby mierzyć się z braćmi.

Powrócili do salonu.

- No to - powiedziała niepewnie - chyba zobaczymy się rano.

- A może spotkasz się ze mną na plaży o świcie? Kąpiel o poranku to najlepszy początek dnia,

- Nie jestem pewna, czy się obudzę na czas.

- W porządku. Zobaczymy się, kiedy wstaniesz. Nie ma pośpiechu. Na tej wyspie nie ma ani jednego budzika - powiedział z wymuszoną serdecznością.

Czuł się spięty i podenerwowany. Czy tak bardzo obeśzło go, że przegrał z nią haniebnie? Na pewno nie. Pew-

nie dlatego, że przez większość wieczoru był podniecony. Na szczęście podczas gry nie zwracała na niego uwagi, ale on nie przywykł, by go ignorowano. Nie czuła iskrzącego między nimi napięcia? Cały wieczór nie mógł odebrać od niej wzroku.

- No to zobaczymy się rano - powiedziała z cieniem uśmiechu.

- Pewnie - odparł.

Też powinien iść do łóżka, ale zamiast tego poszedł do kuchni po drugie piwo. Co się z nim działo?

Kobiety, z którymi spędzał wieczory, były na ogół przekonane, że spędzą wspólnie również i noc. Zawsze było oczekiwanie, rosnące w miarę, jak upływał wieczór - długie spojrzenia, niby przypadkowe dotknięcia, może jeden czy dwa kuszące pocałunki. Ale ten wieczór nie był randką, a ona nie umówiła się z nim z własnej woli. Był dla niej gospodarzem i musiał pamiętać, że została tu dlatego, że nie miała gdzie się podziać.

Pomaszerował do łóżka, zachodząc w głowę, co jest nie w porządku. Jeszcze niedawno był tu doskonale szczęśliwy, a teraz miał kłopot, by wstać rano samotnie na zwykły rytuał powitania słońca na plaży. Potrząsnął głową z niedowierzaniem i poszedł pod prysznic. W końcu z westchnieniem wyciągnął się na łóżku. Jak się porządnie wyśpi, będzie bardziej sobą.

Robin przebudziła się gwałtownie, wrywając się z koczmarnego snu, w którym wciąż biegła do pociągu, ale nie mogła zdażyć. Przypomniała sobie, gdzie jest, i stało się jasne, skąd wzięły się sny o pozostaniu na peronie.

Przewróciła się z jękiem na drugi bok. Nie miała ochoty znowu zasypiać, jeśli miałyby snić dalej o tym samym. Usiadła, przeczesując włosy palcami. Była całkiem rozbudzona, chociaż w pokoju zalegała ciemność. Odrzuciła prześcieradła i poszła do łazienki. Może ubierze się i poszuka czegoś do picia? Na pewno Carmela miała w kuchni jakiś zegar.

Wśliznęła się w ubranie i cichutko otworzyła drzwi, nasłuchując. Panowała głęboka cisza. Nie miała pojęcia, gdzie spał Steve. Korytarz był ciemny, ale blada poświata sączyła się przez okna salonu. Ruszyła korytarzem po omacku, aż dotarła do jako tako oświetlonego miejsca i odprężyła się. Teraz zdała sobie sprawę, że cały czas wstrzymywała oddech. Potrząsnęła głową z irytacją. To nie był przecież film grozy, w którym jakiś stwór mógł zaiść się na nią w ukryciu.

Znalazła się w salonie, skąd bez trudu trafiła do kuchni. Włączyła światło i zmrużyła oczy. Aha! Jest zegar na kuchence. Prawie szósta rano.

Nalała sobie świeżego soku z lodówki i rozejrzała się. Były owoce i ciepłe bułki. Ugryzła kawałek mango. Sok pociekł jej po brodzie, więc otarła go wierzchem dłoni.

Podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz. Mogła już dostrzec wodę, obmywającą brzeg rytmicznymi falami. Skończyła sok, wzięła ze sobą mango i wyszła na świeże powietrze. Gwiazdy wciąż były widoczne, ale niebo na wschodzie jaśniało.

Zeszła ścieżką na sam brzeg i ruszyła wzdłuż płycizn, przyglądając się czerni oceanu. Jej myśli pobiegły znów ku niespokojnej nocy. Ciagle budziła się gwałtownie, nie-

pewna, gdzie się znajduje i czemu jest sama. Wiele by dała, żeby Cindi była razem z nią. Cindi patrzyła na wszystko przez różowe okulary, Robin zazdrościła jej tego. Wiedziała, że ona sama bierze wszystko zbyt poważnie.

Zjadła mango, wyrzuciła pestki do morza i opłukała ręce i twarz. Potem wróciła na suchy piasek i usiadła, by podziwiać naturalny spektakl światła i kolorów. Nagle słońce zjawiło się na krawędzi horyzontu, a potem szybko uniosło się w górę, gdzie zawisło na podobieństwo jaskrawej, pomarańczowej kuli na styku nieba i wody. Westchnęła. Jej drobne troski rozplynęły się i znikły razem z lekką bryzą, która czule owiała jej policzek.

Wreszcie podniosła się, otrzepała i ruszyła wzdłuż plaży w drogę powrotną. Kiedy stanęła przy ścieżce wiodącej do domu, ujrzała na piasku ręcznik i sandały. Uniosła rękę do czoła, by osłonić oczy przed słońcem, i wpatrzyła się w fale.

W końcu go wypatrzyła. Płynął równolegle do linii plaży. Był tak daleko, że widziała tylko czarną czuprynę i od czasu do czasu błysk zagarniających wodę ramion.

Rozpięła koszulę i pozbyła się szortów. Miała pod spodem bikini. Co prawda teraz służyło jej jako bielizna, ale wciąż był to kostium kąpielowy.

Woda była wprost nie do uwierzenia ciepła. Pobiegła przez płyciznę, a gdy woda sięgnęła jej do pasa, popłynęła. Zanurkowała pod wodę i wypłynęła.

Nie miała zamiaru oddalać się tak od brzegu jak Steve, wolała pływać spokojnie i powoli, upewniając się, że nie dryfuje za daleko na pełne morze. Słońce oblewało jej uśmiechniętą twarz i ramiona, gdy płynęła przez łagodne

fale. W istocie, to piękny sposób, żeby zacząć dzień, pomyślała.

Kiedy ją spostrzegł, przez chwilę wydawało mu się, że zobaczył syrenę. A więc udało jej się obudzić dość wcześnie, by do niego dołączyć. Podpłynął na płyciznę i stanął, brodząc w falach, aż wyszedł na brzeg i sięgnął po ręcznik. Strząsnął drobiny piasku, wytarł twarz i włosy, a potem przeciągnął ręcznikiem po ciele. Potem usiadł i zaczekał, aż jego gość skończy kąpiel.

Położył się, podparty na łokciach, i patrzył, jak unosiła się leniwie na powierzchni wody, jakby radując się pieśczętą fal na skórze. Zdawała się nie dostrzegać własnej seksualności, ale zauważył, że była bardzo uczuciowa. Czemu ta kobieta, która przekroczyła właśnie próg dojrzałości, kompletnie nie zdawała sobie sprawy z wrażenia, wywieranego na przeciwnej płci?

Gdy się zmęczyła, stanęła w wodzie do pasa, patrząc w ocean, plecami do niego. Gapił się zaszokowany, niepewny, czy ona ma w ogóle coś na sobie. Dostrzegł wreszcie cielistej barwy pasek idący przez jej plecy. Kurczę... Przez moment naprawdę myślał, że postanowiła popływać nago.

Gdy odwróciła się, zatkało mu dech w piersi. Jedyne mały trójkącik pomiędzy udami i dwa trójkącki na piersiach, w dodatku w kolorze ciała. O cholera, w tym stroju mogłaby wywołać zamieszki na publicznej plaży. Zgubił się w myślach, chłonąc widok wyłaniającego się z wody zjawiska.

Szła w jego stronę z nieświadomą gracją, kołysząc lekko biodrami w falującym rytmie, od którego serce zabiło mu szybciej. Długie nogi zdawały się nie mieć końca.

Zamknął oczy i wyrecytował w myślach wszystkie powody, dla których nie powinien gapić się na gościa pożądlwym wzrokiem.

- Cześć - powiedziała. - Zapomniałam ręcznika. Mogę wziąć twój?

Skinął głową, podał jej ręcznik i spojrzał spod zmrużonych powiek, udając, że to słońce razi go w oczy. Po dłuższej chwili usłyszał szelest ubrania. Uchylił jedno oko. Wkładała szorty i koszulę. Usiadł.

- Bardzo odświeżające, nieprawdaz? - powiedział tak, jakby właśnie połykał żabę.

- O, tak. Nie pamiętam, żebym kiedyś bardziej cieszyła się plażą niż dzisiaj. Jest w tym miejscu coś magicznego.

Przytaknął.

- Tak. To samo myślę każdego ranka, gdy oglądam wschód słońca. Nic nie może się z tym równać.

- Masz wielkie szczęście.

- Zgadzam się. Nie wiem jak ty - spojrzał na słońce - ale ja mam ochotę na śniadanie.

- Dobry pomysł - wyciągnęła do niego rękę.

Przyjął ją i pozwolił jej podnieść go na nogi. Poczował mrowienie w dłoni, więc puścił jej rękę natychmiast.

- Mam kilka pomysłów na spędzenie dnia - powiedział, wspinając się za nią w górę ścieżki.

- Proszę, nie czuj się zobowiązany dotrzymywać mi towarzystwa. Gospodarze zostawili tu kilka książek, których jeszcze nie czytałam, nie będę się nudzić.

- Poczytać możesz kiedykolwiek, a kiedy będziesz miała drugą okazję, żeby zwiedzić prywatną wyspę? - Otworzył przed nią drzwi domku.

Obróciła się ku niemu i roześmiała. Ach, te dołeczki w jej policzkach, jakże przykuwały uwagę.

- Skoro ująłeś to w ten sposób... Zgoda.

Wyglądała niesamowicie młodo, stojąc tak w świetle wczesnego poranka, bez śladu makijażu, który skaziłby naturalne piękno. Nagle poczuł obawę, że zaczyna głupio się zachowywać. Jeszcze nigdy nie reagował tak na żadną kobietę.

Przestraszył się, ale nie miał zamiaru się wycofywać. Więc czemu by nie wykorzystać tego zauroczenia? Gdyby miała ochotę, mogliby spędzić razem kilka fantastycznych dni. I tak nic, do czego by tutaj doszło, nie miałyby dalszego ciągu. Mieszkali o tysiące mil od siebie, a związki na odległość nigdy się nie udawały.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Strużka potu spływała mu po policzku. Steve otarł ją przedramieniem. Kiedy kilka godzin temu wyruszyli na poszukiwanie wodospadów, wiała przybrzeżna bryza. Teraz narastał upał. Podał Robin rękę.

- Zapomniałem, jak gorąco bywa o tej porze dnia.

Przyjęła jego dłoń i pokonała ostatnie metry w górę ścieżki.

- Obiecywałeś, że widok będzie warty wspinaczki. - Zdjęła kapelusz i powachlowała się. Oboje dyszeli ciężko z wysiłku.

- Podtrzymuję obietnicę. Jesteśmy prawie na miejscu. Przynajmniej reszta drogi nie jest już taka stroma.

Cieszył się, że jego głos brzmiał czysto i pewnie, a ponieważ odwróciła się od niego, by oglądać widoki, mógł bez skrupowania podziwiać piękno jej ciała. Miała na sobie swoje szorty i rozpiętą koszulę, a pod spodem kostium kąpielowy. Lubił patrzeć, jak się porusza - z nieświadomą gracją, która aż chwytała za serce. Była zwinna jak gazela. Nie mógł uwierzyć, że zaczyna poetyzować, ale z całą pewnością przeniknęła wszystkie osłony, jakie zbudował wokół siebie.

Była świetną towarzyszką, chętnie chwytała okazje, by poznać coś nowego, bez strachu i bez głupich min. Jej



oczy hipnotyzowały go światłem i cieniami. Były chwile, kiedy morze miało dokładnie taki sam odcień zieleni.

Zmusił się, by podjąć dalszą wędrówkę znanym sobie szlakiem. Usłyszał wkrótce odgłos wodospadów i obejrzał się na Robin.

- Już je słyszę.

- Świetnie, mogłabym teraz stać pod wodą przez kilka godzin i nie narzekać - powiedziała.

Przedarli się przez gęste paprocie, otaczające zapraszający basen. Owiała ich mgiełka z wodospadu.

- Och, jak pięknie - wykrzyknęła ze śmiechem, wyrzucając do przodu ramiona, jakby chciała objąć widok. Ściągnęła buty, koszulę i szorty. - Wygląda jak plan filmowy.

Steve rozbierał się do kąpielówek, gdy Robin wśliznęła się już do wody. Mruknęła z rozkoszy i popłynęła do wodospadu.

- Dobrze się tu rozejrzałeś, jak byłeś za pierwszym razem? - Przewróciła się na plecy i pozwoliła unosić się falam. Przejrzysta woda zapewniała mu doskonały widok jej kształtów.

- Sprawdziłem, czy nie ma w wodzie czegoś niebezpiecznego, jeśli o to pytasz - rzeki rozbawiony pytaniem.

- No nie! Zapytałabym przed wejściem do wody. Pytałam, czy już tu pływałeś.

Błysnął zębami w uśmiechu.

- Nie martw się. Nie przyprowadziłbym cię tutaj, gdyby istniało jakieś niebezpieczeństwo.

Jęknęła.

- Mówisz jak moi bracia. Uwierz mi, mam już dosyć braci, nie musisz być kolejnym.

Zanurzył się w wodzie i popłynął ku dziewczynie.

- Nie musisz się obawiać. Z całą pewnością nie myślę o tobie jak o siostrze. - Zatrzymał się obok niej, płynąc w miejscu. Dzieliły ich niecałe dwa metry wody. Była rozluźniona i szczęśliwa.

- Aż boję się zapytać, jak o mnie myślisz - w jej głosie brzmiała wyraźna nuta nieśmiałości.

Sięgnął ku niej i otoczył ją ramieniem w talii. Przyciągnął powoli ku sobie.

- Naprawdę chcesz wiedzieć? - spytał cicho, trzymając ją w pasie, by nie zanurzyła się pod powierzchnię. Położyła mu dłonie na ramionach i spojrzała głęboko w oczy.

- Aha.

- Myślę, że jesteś piękna, inteligentna, wrażliwa, czuła i tak seksowna, że z trudem trzymam łapy przy sobie - wymruczał jej do ucha. Wytrzymała spojrzenie, choć policzki jej poczerwieniały.

- Jestem dla ciebie seksowna? Naprawdę? - była zaskoczona.

- Lepiej w to uwierz. Gdybym nie był dżentelmenem, całowałbym cię już pierwszej nocy, kiedy tak mi dołożyłaś przy bilardzie.

Przysunęła się bliżej, aż piersiami dotknęła jego torsu, a ich nogi otarły się o siebie.

- A teraz czujesz się jak dżentelmen? - zapytała z łobuzerskim uśmieszkiem.

- Nie, proszę pani.

- To dobrze - uśmiechnęła się.

Dotknęła wargami jego ust, jak gdyby obawiając się, że odpowie. A może obawiała się, że nie odpowie, ale był

mężczyzną z krwi i kości, a żaden zdrowy facet nie oparłby się tak prowokacyjnemu zaproszeniu. Usta Robin zadrzały, nie była tak śmiała, na jaką chciała wyglądać. Delikatnie odwzajemnił pocałunek, pozwalając dziewczynie prowadzić. Podpłynęła jeszcze bliżej, owijając nogi wokół jego nóg. Dobrze, że stał, inaczej oboje wpadliby pod wodę. Jej ufność przeraziła go nie na żarty. Oboje powinni mieć się na baczności, sam jeden był bezradny.

Poczuł, że jej pocałunek jest chętny, ale nieumiejętny, że pieści jego usta, jakby nie wiedząc, co czynić dalej. Otworzył usta dziewczyny i wsunął język, drażniąc lekko, pozwalając jej wciąż prowadzić tak daleko, jak tylko pragnęła się posunąć.

Kiedy się wycofała, puścił ją i badawczym wzrokiem spozjrzał jej w twarz. Patrzyła na niego, zdumiona, długie rzęsy zatrzepotały. Przynęła się znowu. Powtórzyła pocałunek, tym razem naśladowując jego ruchy. Języki pieściły się nawzajem, gdy badała jego usta, a potem przyłgnęła do niego w namiętym pocałunku, od którego mężczyźnie burzy się krew.

- Mmm - mruknęła z rozmarzeniem, powoli odpływając. - To lepsze, niż się spodziewałam.

Zanurkowała i popłynęła do wodospadu. Steve pragnął skoczyć za nią, wymusić kolejne pocałunki, a w końcu doprowadzić do... Nie, nie chciał myśleć, do czego by to doprowadziło. Nie dała mu do zrozumienia, że chce czegoś więcej niż tylko lekkiego flirtu.

Patrzył i czekał całe popołudnie na jakiś znak. Nie wspomniała o pocałunku. Zamiast tego bawili się w wodzie, aż stwierdził, że powinni już wracać w stronę domu. Naciągnęli

ubrania na mokre stroje kąpielowe. Robin szczebiotała podczas drogi tak, jakby nic się nie wydarzyło. Nie mogła nie być świadoma jego fizycznej reakcji, po prostu to zignorowała. Jeżeli wysyłała jakieś sygnały, nie odbierał ich. Czy była tak niewinna, że nie rozumiała, jak bardzo chciał się z nią kochać? Potraktowała pocałunek jak coś zwykłego, coś między przyjaciółmi. Może tak właśnie to odbierała, dwoje przyjaciół poznających się lepiej.

Później, tego dnia wieczorem, kiedy grali w pokera, Steve zdał sobie sprawę, że jest w poważnych opałach. Nigdy jeszcze nie był zakochany, nie znał się więc na objawach, ale wiedział, że dzieje się z nim coś dziwnego.

Gdy systematycznie opróżniała stół z żetonów, mógł jedynie śledzić wyraz jej twarzy, obserwować, jak kosmyki włosów okalają muszelki uszu, inaczej mówiąc - robił z siebie durnia. Gdyby któryś z ludzi, z którymi grywał we wtorki w pokera, dowiedział się, że został pokonany przez kobietkę, niewinną studentkę z college'u, zostałby gromadnie wyśmiany. Ale co dziwniejsze, wcale o to nie dbał. I rozumiał, że musi stawić czoło temu, co się z nim działo.

Robin była zbyt podekscytowana, aby zasnąć. Po tym, jak Steve wymówił się nagle znużeniem i poszedł spać, postanowiła wybrać się na drewnianą ławkę, z której oglądali zachody słońca. Nie było światła, prócz bladego sierpa księżycy i gwiazd. Siedziała i patrzyła na wodę, a jej myśli krążyły ciągle wokół pocałunku. Steve bez wątplenia był na tym polu doświadczony, ale te wodne igraszki okropnie rozgrzały jej zmysły. Chciała więcej, dużo więcej, tylko nie wiedziała, jak mu o tym powiedzieć.

Chyba mu się podobało. Przynajmniej jej nie odepchnął. Jasne, mało który chłopak odrzuciłby chętny pocałunek. Ale on nie potraktował jej poważnie. Tylko się z nią drażnił, trzymając ręce na jej biodrach. Oczekiwała-by, że dotknie jej jakoś... bardziej, może pogładzi po plecach albo dotknie piersi, ale niczego takiego nie zrobił.

Powiedział, że jest seksowna, ale może chciał tylko być miły. Gdyby mu się podobała, przecież pocałowałby ją jeszcze raz, choćby tylko na dobranoc? Nie znała się na mężczyznach, ot co. Dzisiaj w ogóle nie myślał o grze w pokera, zwracał na grę tak mało uwagi, że wygrała prawie wszystkie partie. Czy znudził się jej towarzystwem? Miała tu być jeszcze całe dwa dni.

Gdyby tylko wiedziała, jak dać mu do zrozumienia, że go pragnie. Pewnie przywykł, że dziewczyny na niego lecą. A nie chciała mu się naprzykrzać. Przez trzy dni pokazywał jej wyspę, grał z nią w karty i w pokera. A teraz, kiedy się nad tym zastanawiała, przypominała sobie momenty, kiedy mógł być zniecierpliwiony i marzyć o tym, by się jej pozbyć i odzyskać spokój.

Podciągnęła kolana pod brodę i otoczyła je ramionami. Kurczę, nie miała zielonego pojęcia, jak kusić mężczyznę. Myślała, że pocałunek będzie dla niego wyraźnym znakiem. A może i dobrze odczytał przesłanie, ale po prostu nie był zainteresowany? Westchnęła, nie wiedząc, jak pozbyć się rosnącego między nimi napięcia.

Wstyd było przyznać, nie ma pojęcia, jak skłonić faceta, żeby poszedł z nią do łóżka. Bo przecież tego właśnie oczekiwała od idyllicznych wyspiarskich wakacji. Chciała doświadczyć tego, o czym gadały wszystkie koleżanki.

Nigdy nie miała chłopaka, więc w szkole średniej nie mogła eksperymentować tak jak Cindi i inne przyjaciółki. Nikt nie ścisnął się z nią na tylnym siedzeniu samochodu. Bracia dopilnowali, żeby nie wiedziała, co podnieca mężczyznę. Nigdy nie pozwolili jej na randkę sam na sam, a na podwójnych randkach była pod ścisłym nadzorem.

Co za ironia losu! Oto miała nie tylko idealną okazję, ale i idealnego mężczyznę - a on, po tym jak go pocałowała i dała znać, że ma na niego ochotę, poszedł wcześniej spać!

Oparła brodę na kolanach i wpatrzyła się w morze. Jednostajny ruch i szum fal ukoił ją powoli, tak że kiedy wreszcie wstała, była gotowa iść spać. I wymyśliła, co zrobić, by zwrócić Steve'owi jego samotność.

Obudziła się wcześniej, na długo przed świtem. Już ubrana, wśliznęła się do kuchni po zapasy. Zostawiła kartkę na stole, informując, że znika na cały dzień, by oglądać baseny i opalać się, i że wróci wieczorem.

Zanim wzeszło słońce, przemierzyła już całą długość wyspy do miejsca, gdzie było pełno basenów przypiływowych. Rozłożyła ręcznik w cieniu drzewa i wyciągnęła się na spoczynek. Miała za sobą niespokojną noc, a promienie słońca były takie kojące. Zdrzemnie się troszkę, a potem coś zje, zanim zacznie zwiedzanie. Będzie się świetnie bawić. Uśmiechnęła się, zapadając w sen.

Po porannej samotnej kąpieli w morzu Steve, trochę rozczarowany nieobecnością Robin, nie mógł się doczekać, żeby ją spotkać i podzielić się kilkoma pomysłami na spędzenie dnia. Carmela przygotowała już kawę i śniadanie. Uśmiechnęła się do niego, gdy wszedł do kuchni.

- Masz wiadomość - wskazała na stół. Zaskoczony, podniósł ręcznie zapisaną kartkę i przeczytał:

*Steve, jesteś cudownym gospodarzem. Nie chcę nadużywać Twojej gościnności. Idą na cały dzień na drugi koniec wyspy, żebyś mógł ode mnie odpocząć. Zobaczymy się o zachodzie. Baw się dobrze! Robin.*

- Rozmawiałś z nią dziś rano? - zapytał Carmelę.

- Nie. Nie widziałam jej. Musiała wcześniej wstać. Zrobiła sobie kanapki, wzięła parę butelek wody i owoce, więc pewnie wyszła na dłużej.

Nalał sobie filiżankę kawy. Poszła, to poszła. Ciekawe, co takiego zrobił, że postanowiła zniknąć na cały dzień. Jedyne, co mu przyszło do głowy, to jego wczorajsza wieczorna ucieczka. Musiała uznać, że nie chciał z nią dłużej siedzieć. A to już było niemal zabawne, zważywszy na stan jego umysłu.

Westchnął, nalał sobie jeszcze kawy i pomyślał, co może zrobić. Najbezpieczniej było zostawić ją w spokoju. W końcu wybrała, że chce być sama. Jutro opuści wyspę zgodnie z planem, a potem już nigdy się nie zobaczą. Nic wielkiego. Zapomni o niej szybko, jak tylko wróci w wir codziennych obowiązków. Bez wątplenia, to było najlepsze rozwiązanie. Jedyńm problemem było to, że jego życie chyba już nigdy nie będzie takie samo jak przed przybyciem Robin. W tym szczególnym przypadku „z oczu” wcale nie oznaczało „z myśli”.

Nigdy nie wierzył w układy na odległość, ale w tym wypadku był skłonny zrobić wyjątek. Nie chciał zmarno-

wać całego dnia, siedząc na drugim krańcu wyspy. Powinien ją znaleźć, przeprosić za swoje humory i jasno dać jej do zrozumienia, że chciał rozważyć długoterminowy związek.

Zaraz po śniadaniu wyruszył na poszukiwanie. Dostrzegł chmury formujące się na horyzoncie, jasny znak, że później będzie padać. Był raczej pewien, że Robin nie zechce być na zewnątrz przy takiej pogodzie, więc w zasadzie robił jej przysługę, ostrzegając przed zmianą pogody.

Dostrzegł Robin blisko miejsca, gdzie ujrzał ją po raz pierwszy. Leżała w pobliżu drzew, które tworzyły naturalną granicę pomiędzy bujną roślinnością a białym piaskiem. Kiedy się zbliżył, zobaczył, że spała twardo, z głową opartą na ramieniu. Poczuł się jak książę odkrywający Śpiącą Królową. Uklęknął obok i pogładził jej policzek.

- Robin? - szepnął, nie chcąc jej przestraszyć.

Poruszyła się, zatrzepotały długie rzęsy, odsłaniając zieleni oczu wciąż przesłoniętych mgłą snu. Uśmiechnęła się do niego leniwie, a potem powieki znów opadły na jej oczy. Wyciągnął się obok, wsparty na łokciu, a potem pochylił się i musnął ustami jej usta. Smakowała tak słodko, wargi miała tak miękkie, jak to zapamiętał. Odsunął się, gdy otworzyła oczy.

- To takie miłe - wyszeptała. - Lubię, jak mnie całujesz.

- To bardzo dobrze, bo ja wprost uwielbiam całować ciebie. - Pocałował ją znowu.

Dotknęła jego twarzy smukłymi palcami.

- Co tutaj robisz? - zapytała.



- Tęskniłem za tobą - odparł po prostu.
- Naprawdę?
- Przepraszam za wczorajszą noc - powiedział, muskając delikatnie ustami jej policzek i szyję. - Musiałem być bardzo nieuprzejmy, znikając tak wcześnie... - i nie mogąc się powstrzymać, znów odnalazł jej usta. Zanim zrobili przerwę na oddech, drżeli już oboje.
- A ja myślałam, że się mną znudziłeś - zdołała powiedzieć.
- Tak naprawdę to toczyłem ciężką walkę z moją lepszą naturą, która przypominała mi, że jesteś bardzo młoda i niedoświadczona i powinnaś związać się z kimś w swoim wieku.
- Aha - prześledziła linię jego podbródka końcem palca. - Bo ty przecież jesteś bardzo stary.
- Trzydzieści dwa lata.
- No rzeczywiście. Starzec, naprawdę.
- Jak dla studentki z college'u...
- To musi być ze mną coś nie tak, że taki starożytny okaz tak bardzo mnie pociąga.
- Pociagam cię?
- Myślałam, że pocałunki przy wodospadzie to wystarczający dowód, ale traktowałeś to tak zwyczajnie, że uznawałam, że się mną nie interesujesz. Kiedy poszedłeś wcześniej spać, byłam tego pewna.
- Nie masz pojęcia, z jakim trudem trzymałem ręce przy sobie. Gdybym wiedział, że chcesz... - urwał.
- Że chcę się z tobą kochać? - zapytała.
- Nie to chciałem powiedzieć!
- Ale ja chcę się z tobą kochać. Chcę od dawna, ale

myślałam, że nie jestem w twoim typie. Oczywiście teraz, kiedy wiem, jaki jesteś stary, lepiej rozumiem... - Resztę słów stłumił pocałunek, gdy pokazywał, jak bardzo jest w jego typie, bez względu na to, jaki jest stary.

Nie przestając całować, przebiegł dłońmi po jej ciele, wzdłuż kręgosłupa, po piersiach i udach. Odpowiadała z tak ochoczą gorliwością, że poczuł się niemal onieśmieszony. Poglądził jej twarz i szyję, wyczuwając bicie pulsu. Była taka krucha, delikatna... Jej usta były różowe, wilgotne i lekko obrzmiałe, zapraszały, by nadal je badał i smakował.

Pieścił przez chwilę szyję i ramiona, aż wreszcie dotknął jej piersi. Wzdrygnęła się, więc wstrzymał dłoń.

- W każdej chwili mogę przestać, wystarczy, że powiesz.

- Nie chcę, żebyś przestawał - szepnęła.

Zamknął oczy, chcąc odzyskać kontrolę nad sobą. Chciał, żeby było to dla niej przyjemne.

Schylił głowę i obnażył jej pierś, ściągając cienki materiał, aż ukazała się bladoróżowa aureola. Czuł, jak dziewczyna reaguje na każdy dotyk cichym westchnieniem, a potem powolnym pojękiwaniem.

Ponownie ją pocałował i odkrył, że była dobrą uczennicą, bo nie tylko zapamiętała, co robił wcześniej, ale dodała parę własnych kombinacji. Właściwie uczyła się aż za szybko, o czym przekonał się, gdy przesunęła rękę z jego barków na nagą pierś i zaczęła drażnić mu sutki, aż stwardniały. Pośpiesznie nakrył jej pierś i usiadł, oddychając ciężko.

- Co się stało?

Roześmiał się.

- Nic. Staram się robić to powoli, ale jeśli utrzymasz takie tempo, przeskoczmy po drodze kilka ważnych etapów.

Przekrzywiła głowę i uśmiechnęła się.

- To lubisz, jak cię dotykam?

- O tak - przytaknął ruchem głowy. - „Lubię” to mało powiedziane. Ale nie chcę cię poganiać. - Przyglądał się Robin przez chwilę. - Popraw mnie, jeśli się mylę, ale mam wrażenie, że nie jesteś w tym zbyt doświadczona.

- Przepraszam, że wiem tak mało.

- Mój Boże, nie przepraszaj za niewinność. Po prostu chcę, żeby twój pierwszy raz był dla ciebie przyjemnym doświadczeniem.

Zdjął z niej skąpy kostium i chłonał przez chwilę urok jej ciała, a potem zrzucił pospiesznie swoje ubranie. Poczekał, aż nacieszy się jego nagością. Gdyby nie był tak pobudzony, pewnie rozbawiłoby go jej olbrzymie zainteresowanie. Bez cienia nieśmiałości przebiegła palcami w dół jego piersi. Kiedy zareagował na dotyk, uśmiechnęła się z zadowoleniem.

Była zbyt rozkoszna, by mógł dłużej czekać. Pochylił się, sięgnął do kieszeni szortów i wyciągnął mały, kwadratowy pakiecik, który nosił ze sobą, odkąd pojawiła się na wyspie. Zabezpieczony, ukląkł między nogami dziewczyny i powoli wsunął się do wnętrza, aż napotkał barierę potwierdzającą jej niewinność.

- Nie przerywaj - wyszeptała z obawą. - Och, proszę, nie przerywaj...

- Nie chcę cię skrzywdzić.

Wypchnęła biodra do przodu, przyjmując go w siebie głęboko. Przestał silić się na ostrożność, zapomniał o wszystkim, prócz tego, jak wspaniale ją czuje i jak bardzo jej pragnął. Przeraziła go myśl, że nigdy jeszcze nie czuł się tak z kobietą.

Nagle zakwiliła i zeszywniała, tuląc go mocno do siebie. Falowanie jej wnętrza sprawiło, że stracił kontrolę. Zadał jej ostatnie pchnięcie i przetoczył się przez krawędź, zabierając ją ze sobą.

Gdy mógł ponownie zebrać myśli, leżał obok niej, trzymając ją w ramionach, jakby już nie miał nigdy wypuścić. Kiedy się w końcu poruszyła, westchnął z żalem.

- Przepraszam, kochanie. Zepsułem to. Nigdy jeszcze...

Położyła mu palce na ustach.

- Byłeś wspaniały. Proszę, nie przepraszaj.

Leżał przez chwilę, zaskoczony, a potem się uśmiechnął.

- Wspaniały? Tak myślisz? Z całym twoim bogatym doświadczeniem uważasz, że jestem najlepszy, tak?

- Bez wątpienia. Nie miałam pojęcia, ile tracę.

Roześmiał się. W jej głosie słyszał taką satysfakcję.

- Szkoda, że jutro wyjeżdżasz.

Wsparła się na łokciu, spojrzała na niego i przejechała palcami po jego ciele od szyi w dół i z powrotem.

- Mamy jeszcze dzisiejszy dzień, prawda?

- Nie jestem pewien, czy go przeżyję - zachichotał.

- Ale to będzie piękna śmierć.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Przeszli już połowę drogi powrotnej, gdy złapał ich deszcz. Wzięli się za ręce i pobiegli wzdłuż plaży, aż dopadli wiodącej na wzgórze ścieżki. Ale nim skryli się pod dachem, zasuwając za sobą szklane drzwi, byli przemoknięci do nitki. Strużki wody ściekały z ich ubrań i włosów.

Robin popatrzyła na Steve'a. wciąż oszołomiona świadomością, że właśnie się z nim kochała. To było cudownie wypełniające, odurzające uczucie. Mokra włosy przylepiły się do jego czoła, a twarz ociekała wodą. Wiedziała, że sama też wygląda jak zmokła kura. Wybuchnęła śmiechem i zarzuciła mu ręce na szyję. Złapał ją i poniosł korytarzem aż do ostatnich drzwi. Sięgnęła za siebie i nacisnęła klamkę. Wniósł ją do środka. Odniosła niejasne wrażenie, że pokój jest ogromny jak boisko do baseballu. Znaleźli się w łazience wielkiej jak jej tutejsza sypialnia. Ktokolwiek to projektował, potrzebował dużo przestrzeni. W samej kabinie prysznicowej zmieściłoby się całe przyjęcie.

Steve ściągnął ubranie, a potem uwolnił jej ciało z kostiumu. Odwrócił się jeszcze, by odkręcić oba prysznice, ustawił temperaturę i zwrócił się ku dziewczynie z uśmiechem.

Marzyła o tym uśmiechu, lśniącym bielą w ciemno opalonej twarzy. Nie była pewna, gdzie kończyły się marzenia, a zaczynała rzeczywistość. Wciąż nie mogła dojść do siebie po odkryciu, że przez cały ten czas, kiedy ona pragnęła, by coś między nimi zaszło, on marzył o tym samym.

Weszła pod prysznic, a Steve chwycił gąbkę, aby ją namydlić. A potem zaczął delikatnie masować skórę dziewczyny, zaczynając od ramion, a potem schodząc niżej, masując jedwabistą skórę wokół piersi i same piersi, pozostawiając ścieżki puszystych bąbelków, jedwabiście osiadających na jej ciele. Zadrżała, czując zmysłowość tego, co robił. Odwrócił ją i zaczął nacierać jej plecy, aż wygięła się w odpowiedzi jak kotka. Kiedy znów obrócił ją twarzą ku sobie, była tak rozluźniona, że ledwo stała na nogach.

Zaskoczył ją. Ukłąkł i raz jeszcze przesunął po niej gąbką, sięgając wokół bioder ku pośladkom, które ujął w dłonie. Przysunął się i złożył lekki pocałunek na mokrym, futrzanym kłębuszku. Zdumiona, spojrzała w dół.

- Steve, co ty mi... Och, Steve! - a potem straciła dar wymowy, a wszelkie myśli pierzchły w niebyt. Mogła jedynie czuć, a doznania, jakie w niej wzbudzał, przerastały wszystko, czego doświadczyła do tej pory. Pieścił ją, masując delikatnie, aż niemal eksplodowała z rozkoszy. Wstał i zdążył ją schwycić, gdy ugięły się pod nią kolana.

- W porządku? - zapytał.

Mogła jedynie przytaknąć skinieniem głowy. Odsunął się o krok i zaczął myć swój tors. Zabrała mu gąbkę

i ostrożnie obmyła go, przykładając się szczególnie do tej jego części, która zdawała się żyć własnym życiem. Gdy skończyła, był już zupełnie pobudzony.

Ujął ją w pasie i poprowadził do sypialni, prosto do łóżka. Szarpnięciem ściągnął narzutę i ułożył Robin na środku pościania.

Straciła zupełnie poczucie czasu, a jej świat zawęził się tylko do Sieve'a i tego, czego ją uczył. W pieszczotach i badaniach nie pominął żadnego skrawka jej ciała. Szybko stwierdziła, że najmocniej reagował, gdy odpowiadała mu dotykiem na dotyk, w sposób, jaki jej podpowiadał. Poczuła się wreszcie seksowna, uwodzicielska, zachęcona, by dotykać go, gdzie i jak tylko miała ochotę. Pieścili się tak długo, jak długo byli w stanie powstrzymać namiętności, a potem na przemian kochali się. odpoczywali i drzemali, aż jedno z nich znów zaczynało dotykać i pobudzać to drugie.

W końcu powiedział Robin, że jest kompletnie wycieńczony i może już jedynie leżeć i pozwalać jej robić ze sobą, co chciała. Pokazał, jak usiąść nad nim i kontrolować wspólne doznania, ze śmiechem komentując, że stworzył potwora, który w przyszłości będzie chciał dominować. Miłość i śmiech odebrały jej siły. Gdy zasypiała w ramionach Steve'a, wiedziała, że ten mężczyzna rozpałił w niej ogień, którego nigdy nie zapomni.

Obudziła się wcześniej rano, niepewna, gdzie jest i czy to wszystko jej się tylko nie przyśniło. Ale obróciła głowę i ujrzała Steve'a ułożonego na brzuchu, z głową wciśniętą pod poduszkę. Uśmiechnęła się i leżała cichutko, pełna

zadowolenia. Wczorajszy dzień był wspaniały, odkąd otworzyła oczy i zobaczyła go nad sobą na plaży, aż do momentu, gdy zapadli w sen kilka godzin temu.

Steve robił sobie z niej żarty, ponieważ natychmiast, i bez skali porównawczej, uznała go za idealnego kochanka, ale Robin wiedziała lepiej. Słyszała, jak przyjaciółki rozmawiały o seksie i nieraz uważała, że koloryzują. Cieszyła się, że wcześniej z nikim nie spała.

Nie budząc Steve'a, wymknęła się do łazienki przy swojej sypialni i napełniła wannę ciepłą wodą. Dosypała hojnie mieszanki ziół i soli kąpielowej, a potem zanurzyła się z rozkoszą w kojącym płynie. Oparła głowę o brzeg wanny i zamknęła oczy. To były cudowne wakacje! Co prawda nie wszystkim będzie mogła podzielić się z Cindi, ale zapamięta każdą chwilę. Odpływając w stan absolutnej błogości, znów trochę podniecona, usłyszała wołanie Steve'a:

- Robin? Robin, gdzie jesteś! Lepiej, żebyś tu była, cholera! Nie chcę, żebyś wyjechała zanim...

- Steve! Tu jestem! - krzyknęła. Drzwi otworzyły się i Steve zajrzał do środka.

- Dzień dobry - uśmiechnęła się na jego widok. Włosy sterczały mu na wszystkie strony. Miał na sobie tylko szorty. Jak dla niej, wyglądał bosko.

- Wszystko w porządku? - zapytał z niepewną miną. Zmarszczyła nosek.

- Nic takiego. Ciepła kąpiel w wannie pomoże. Chyba wczoraj trochę nas poniosło.

Ukląkł przy wannie i pogładził Robin po policzku.

- Och, słonko. Tak mi przykro. W ogóle nie pomyśla-



łem... przecież nie jesteś przyzwyczajona... - potrząsnął głową. - O czym ja myślałem?

- Chyba żadne z nas nie myślało za wiele.

Usiadł na piętach.

- Wiem. Kiedy zobaczyłem, że cienie ma, spanikowałem. Musimy wyruszyć za kilka godzin, żebyś zdażyła na statek na Świętego Tomasza. Tymczasem... - urwał, nie wiedząc, co powiedzieć.

- Tymczasem muszę pozbierać ubrania, które pewnie walają się po twojej łazience, i wysuszyć je, bo nie będę miała w czym pojechać.

Dotknął jej, gładząc wierzch piersi.

- Nie chcę, żebyś jechała - powiedział. - Wciąż myślę o tych pierwszych dniach. Pomyśl, ile czasu zmarnowaliśmy!

- I o pieniądzach, które wygrałam w pokera i w bilard. Gdybym mogła zamienić te żetony na gotówkę, stać by mnie było na czarter - zażartowała.

- A czy pamiętasz, że nie wiem, jak odnaleźć cię w Teksasie? Potrzebuję numeru telefonu, adres, czegoś, żeby...

Usiadła w wannie.

- Steve? Chcesz utrzymać kontakt ze mną?

Zmarszczył się.

- A co w tym dziwnego? Nie da się tak po prostu zapomnieć o tym, co między nami zaszło. - Podniósł się powoli na nogi. - Chyba że to był dla ciebie tylko przelotny wakacyjny romans.

- Oczywiście, że nie! - Wyciągnęła korek z wanny i wstała, owijając się ręcznikiem. Nigdy nie czuła się tak

bezbronna, jak teraz. Wytarła się i narzuciła kimono. Steve poszedł za nią do sypialni i usiadł na łóżku.

- No to o co chodzi?

Roześmiała się z zakłopotaniem, podchodząc do okna.

- Nie rozumiesz, jakie by to było niezręczne? Nie mam zamiaru powiedzieć rodzinie o moim pobycie na wyspie. Więc nie mogę wrócić i przedstawić im ciebie.

Czuła na plecach jego spojrzenie. Gdy obejrzała się przez ramię, powiedział:

- Nigdy nie myślałem, że jesteś tchórzem.

Odwróciła się do niego.

- Ja też nie uważam się za tchórze. Ale tyle się wydarzyło, że nie wiem, jak to rozwiązać.

- Więc zamiast stanąć twarzą w twarz z tym, co się stało, wolisz to ukrywać? Wstydzisz się?

Uciekła spojrzeniem.

- Nie. Nie całkiem. Może jestem trochę zaszokowana swoim zachowaniem. Ale nie żałuję, że cię spotkałam, ani że... że my...

Ruszył gwałtownie ku drzwiom.

- W porządku, rozumiem. Przepraszam, że zajęło mi to tyle czasu. Tego tylko szukałaś, wakacyjnego romansu, a ja akurat byłem pod ręką. No dobra, bardzo uatrakcyjniłaś mój pobyt tutaj. Zobaczę, kiedy Romano będzie gotowy. I musimy coś zjeść.

I już go nie było. No, ładnie! Znowu zawałiła. Nie powiedziała nic z tego, co chciała, ani nie wyjawiała mu swoich uczuć. Częściowo dlatego, że sama była co do nich w rozterce. Czy wakacyjny romans to coś złego? Przecież to jasne, że wszystkie te obietnice: napiszę do ciebie, bę-

dziemy w kontakcie rozwiewają się zawsze, gdy tylko zakochani wracają w wir normalnego życia.

Powiadomienie rodziny o romantycznym wakacyjnym spotkaniu byłoby ciężkim wyzwaniem, ale byłaby nawet skłonna je podjąć, gdyby tylko mogła liczyć, że ma szansę na trwały związek ze Steve'em. A wydawał się mocno zraniony myślą, że go wykorzystała.

Udała się do jego łazienki po swoje rzeczy i ręczniki, a potem ruszyła na poszukiwania. Zastała Steve'a w kuchni, zajadającego pyszne ciasto Carmeli.

- Źle mnie zrozumiałeś - powiedziała, przechodząc do pralni. Wrzuciła ciuchy do pralki i wróciła do kuchni, nałała sobie kawy i usiadła naprzeciw niego. - Jesteś dla mnie czymś więcej niż wakacyjnym flirtem.

Przyjrzał się jej w milczeniu znad filiżanki.

- Miło słyszeć - rzekł w końcu.

- Problem w tym, że byliśmy tu kilka dni sam na sam i mieliśmy okazję się poznać. Ale żadne z nas tak naprawdę nie wie, jakie to drugie jest w prawdziwym życiu. Potrzebujemy czasu, żeby poznać się w zwykłym otoczeniu, zdecydować...

- Właśnie to chciałem powiedzieć. Nie mieliśmy nawet czasu wymienić się adresami i numerami telefonów. Wiem, że jesteś zajęta studiami, ale może podczas wiosennej przerwy mogłabyś przyjechać do Los Angeles. Oprowadziłbym cię, pojechalibyśmy do Santa Barbara i...

Zaczęła się śmiać.

- Oj, Steve! Gdybyś tylko wiedział, jaka jest moja rodzina. Dostali szału, przynamniej ojciec i bracia, kiedy oznajmiłam, że wybieram się w ten rejs. Gdybym chciała

cię odwiedzić, musiałabym zabrać ze sobą trzech ochro-  
niarzy.

Wyciągnął się w krzesło.

- A na miesiąc miodowy też będą chcieli z tobą je-  
chać?

Poczuła, jak wypełza jej na twarz rumieniec.

- Nie, ale nie o tym przecież mówimy...

- Niewykluczone - powiedział cicho. - Nie chcę cię  
stracić, Robin. Nawet jeśli to znaczy najpierw się pobrać,  
a potem poznawać lepiej, gotów jestem i na to.

Poczuła narastającą panikę.

- Pobrać? Ty i ja?

Przyglądał się dziewczynie w ciszy, która bynajmniej nie  
łagodziła wiszącego napięcia. Wreszcie pokręcił głową.

- Robin, zdaję sobie sprawę, że słabo mnie znasz, ale  
nie jestem facetem, który sypia, z kim popadnie. Nigdy  
taki nie byłem i nie chcę być taki nawet na wakacjach.  
Wiem, że znamy się za krótko, by składać sobie poważne  
obietnice, ale powinniśmy przynajmniej to rozważyć.  
Jesteś jedyną kobietą, której jestem gotów złożyć takie  
zobowiązanie, mimo że znam cię od paru dni. Chcesz  
powiedzieć, że nigdy nie rozmyślałaś o małżeństwie ze  
mną?

Ukryła twarz w dłoniach i oparła łokcie na stole.

- Widzę, że jesteś zachwycona propozycją - mruknął,  
dolewając sobie kawy.

- Nie o to chodzi.

- Nie?

- Niezupełnie. Chcę powiedzieć, że nie możemy spie-  
szyć się z czymś takim tylko na podstawie...

- Czego? Obojętnie, jak byliśmy ostrożni wczoraj i dziś w nocy. te środki nie są stuprocentowo bezpieczne. A szczerze mówiąc, nie zmartwiłbym się, gdybyś była w ciąży. Chciałbym być z tobą sam na sam jakiś czas przed założeniem rodziny, ale...

- Ty mówisz poważnie... - wyszeptwała, drżąc.

- Tak.

Zdecydowana odpowiedź zawisła w powietrzu.

- Potrzebuję trochę czasu - powiedziała wreszcie słabo.

- Dam ci tyle, ile zechcesz. - Wstał od stołu. - Zobaczę, co z ubraniem, i ruszajmy w drogę.

Poszedł do pralni. Usłyszała, jak przerzuca jej rzeczy do suszarki i włączają. Uniosła filiżankę w obu dłoniach i napiła się trochę.

Nie odezwał się już ani słowem. Ona też nie. Myśli kotłowały się w jej głowie jak tornado. Powiedzieć rodzinie o spotkaniu Steve'a to jedna sprawa, ale powiedzieć, że jej się oświadczył, to coś innego. Pomyślą sobie... pomyślą dokładnie to, co się stało. I rozpęta się piekło. Nie chciała burzliwych scen i ataków na Steve'a za coś, co ona sama sprowokowała. To ona zachęcała go do każdego kolejnego kroku. To ona chciała się z nim kochać. To ona chciała, żeby nauczył ją wszystkich rozkoszy między mężczyzną i kobietą.

On to powiedział. O kurczę, on to powiedział!

Do tej pory myślała, że jakoś uda się zamknąć za sobą te wspomnienia i wrócić do zwykłego życia. Kalifornia była daleko od Teksasu, mogliby najwyżej wymienić adresy i posyłać sobie uroczne kartki świąteczne. Myślała, że Steve pozostanie tylko cudownym wspomnieniem. Ale

wyszło zupełnie inaczej. I mogła za to winić tylko samą siebie. Prawda, że nigdy nie mówili, co sądzą o małżeństwie, ale Steve opowiadał, jak ciężki był jego zawód dla ludzi żonatych. Odniosła wrażenie, że wolał być wolny, by nie musieć rozrywać się na dwoje między życiem rodzinnym a wymagającą pracą.

Czy to możliwe, że działała na niego do tego stopnia, że był gotów zmienić punkt widzenia? Pochlebiało jej, że nie była dla niego przypadkową partnerką. Bardzo jej pochlebiało. Ale nie spodziewała się, że tak szybko będzie parł do stałego związku.

Usłyszała za sobą trzask zamykanych drzwi. Steve wyszedł, zapewne do Romana. Musiała zapakować swoje nieliczne rzeczy. Zanim wrócił, miała już wszystko schowane w torbie.

- Wyżywamy, jak tylko będziesz gotowa - oznajmił.
- Płyniesz z nami?
- Może to zabrzmie dziwnie, ale nie spieszo mi się z tobą żegnać. Przeszkadza ci to?

Uśmiechnęła się.

- Wcale. - Podeszła do niego i objęła go w pasie. - Spotkanie z tobą to najlepsze, co mi się przydarzyło, Steve. Miej tylko do mnie trochę cierpliwości, dobrze?

Otoczył ją ramionami i utulił mocno.

- Powiem ci coś w sekrecie: jestem przerażony myślą, że mogę cię stracić. Zupełnie jakbym całe życie czekał tylko na ciebie. A mam straszne przeczucie, że jak opuścisz tę wyspę, nigdy już cię nie zobaczę.

Popatrzyła na niego uważnie.

- Obiecuję, że tak się nie stanie.

- Wierzę, że mówisz szczerze. - Odsunął się - Lepiej się ubierz, bo znów porwę cię do łóżka.

Pozbierała szybko rzeczy z suszarki i pobiegła się przebrać. Gdy wróciła, on miał na sobie spodenki khaki i koszulę polo. W szortach i bluzeczce bez rękawów poczuła się niekompletnie ubrana.

Steve sięgnął do kieszeni.

- To moja wizytówka. Napisałem na odwrocie adres i telefon prywatny, będziesz się mogła ze mną skontaktować o dowolnej porze. Tylko tego nie zgub, mój numer jest zastrzeżony.

Podawała mu skrawek papieru.

- A to mój adres i telefon.

Złożył karteczkę starannie i schował do portfela.

- Dziękuję - powiedział. - Musimy już iść - otoczył ją ramieniem.

Wyszli na zewnątrz, a potem w dół do przystani. Romano uśmiechnął się na powitanie i pomógł jej wejść na pokład łodzi. Steve wszedł za nią. Usiedli na rufie, a Romano poszedł do sterówki. Wypłynęli na otwarte morze. Steve objął ją, a ona oparła mu głowę na ramieniu. Wyspa szybko oddalała się z pola widzenia. Robin słyszała równe bicie serca Steve'a. Trudno było uwierzyć, że ich czas na wyspie dobiegł kresu.

Tyle godzin spędzili na rozmowach, ale aż do dzisiaj nie wspomnieli o tym, jak ich spotkanie zaważy na przyszłości. Naprawdę się wystraszyła. Nie była na to gotowa. Potrzebowała czasu i oddalenia, by przemyśleć wszystko na spokojnie. Tyle jeszcze było przed nią! Praca dla agencji, własne mieszkanie, uzyskanie niezależności. Gdyby

wyszła za Steve'a, stałaby się częścią życia drugiej osoby, musiałyby podejmować kompromisy i zmierzyć się z mnóstwem spraw, które dotąd uważała za odległą przyszłość. Ale jeszcze bardziej przerażająca była myśl, że może go już nigdy nie zobaczyć.

- Dziękuję ci za ten tydzień - szepnęła w końcu.
- Cała przyjemność po mojej stronie. Uwierz mi.
- Jak długo jeszcze tu będziesz?

Wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Może tydzień. Jeszcze nie postanowiłem.

Bez ciebie to już nie będzie to samo.

Reszta podróży upłynęła w milczeniu, przerywanym od czasu do czasu skąpyimi uwagami. Robin zdziwiła się, dostrzegając rosnącą na horyzoncie wyspę.

- Już prawie jesteśmy - powiedziała. Odczuła nagłą falę ulgi, gdy spostrzegła liniowiec zakotwiczony w porcie.

Steve kazał płynąć prosto ku niemu. Gdy przybili do wielkiej burty, ktoś z załogi nachylił się, by pomóc jej wejść na pokład. Wstała, łapiąc równowagę w kołyszącej się łodzi.

- Zadzwon do mnie, jak wrócisz do LA - powiedziała.
- Możesz na mnie liczyć.

Pocałował ją, mocno, namiętnie, zaborczo, aż zmiękły jej kolana, a w głowie się zakręciło. Kiedy ją wreszcie puścił, odstaąpił i powiedział:

- Uważaj na siebie. Dla mnie, dobrze?

Uśmiechnęła się, chociaż czuła wzbierające łzy.

- Ty też.

I wspięła się na pokład. Szalupa odbiła od burty. Po-



machała do Steve'a i posłała mu pocałunek, a potem odwróciła się i pomaszerowała do swej kajuty. Wymarzone wakacje dobiegły końca. Czy to, co do siebie czuli, przetrwa nadchodzące tygodnie i miesiące? Nie chciała zgadywać. W każdym razie, jej życie nie będzie już nigdy takie samo.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Super! Wróciłaś! Kiedy? Nikt mi nie mówił, że wrócisz na statek, myślałam, że już poleciałaś do domu! Robin, jak się cieszę!

Robin usiadła ciężko na koi. Miała zamiar uciąć sobie drzemkę, a teraz zagapiła się półsennie na podekscytowaną koleżankę, która wskoczyła na łóżko tuż obok.

- Czy to było straszne? Sama na wyspie! Nie mogłam uwierzyć, że cię po prostu zostawili! Powiedziałam kapitanowi, co o tym myślę. Oczywiście przypomniał mi o zasadach, którymi był związany! - Cindi uściskała ją i popatrzyła ciekawie.

- Dobrze się czujesz?

Robin zaczęła się śmiać.

- Czułam się dobrze, dopóki huragan Cindi nie wpadł do kajuty. - Odrzuciła włosy z twarzy. - Też się cieszę, że cię widzę - wciąż chichocząc, zapytała: - Naprawdę zrobiłaś kapitanowi burę, że mnie zostawił?

- No pewnie! Ty byś zrobiła to samo. Tak się martwiłam, że coś ci się może stać. Na szczęście powiedzieli mi, że dzwoniłaś, że nic się nie stało. Gdzie ty znalazłaś telefon?

- A pamiętasz, że to była prywatna wyspa?

Cindi przytknęła.

- No i tam stał wspaniały dom, którym opiekuje się

takie małżeństwo - przerwała, dobierając uważnie słowa. - I akurat jeden taki facet spędzał tam urlop i znalazł mnie na plaży, i zaprosił od domu. Był bardzo miły. Zadzwoił na statek i dał mi porozmawiać. Jak się dowiedziałam, że wracacie dopiero za pięć dni, nalegał, żebym się u niego zatrzymała. Był naprawdę bardzo miły - niemal widziała, jak Cindi strzyże uszami z ciekawości.

- Mężczyzna? Spotkałaś tam na wyspie faceta? - zaniósła się śmiechem. - Opowiedz mi o nim!

Robin wzruszyła ramionami.

- Właśnie mówiłam. Był bardzo miły.

- Mój dziadek też jest miły. Wiesz, o co pytam. Młody? Kawaler? Przystojny?

- Aha.

- Co aha?

- Wszystko powyższe.

- Jak wyglądał?

Zamknęła oczy, przywołując wspomnienia, które zostaną jej na całe życie. A potem spróbowała odpowiedzieć jak najzwyczajniej:

- No wiesz, taki typowy facet, jaki może się trafić sam na wyspie. Wysoki, ciemny, bardzo przystojny, z ciałem jak grecki bóg, mądry jak Einstein, z poczuciem humoru...

- Aha, jasne. A tak naprawdę był po sześćdziesiątce, gruby, łysy i sprośny?

Westchnęła.

- Nie, naprawdę był takim przystojnym chłopem, że mógłby trafić na okładkę. Kiedy go zobaczyłam, myślałam, że jestem w niebie. Był spełnieniem wszystkich kobiecych fantazji.

Oczy Cindi zrobiły się wielkie jak spodki.

- Wygłupiasz się!

Robin położyła rękę na sercu, a potem uniosła dłoń jak do przysięgi.

- Niech umrę, jeśli kłamię.

- No to pięknie - Cindi westchnęła z podziwem. - Ja się tu zamartwiałam o ciebie, a ty przeżywałaś bajkową przygodę! Musisz mi wszystko opowiedzieć! Wszystko! Jak się nazywa?

- Steve Antonelli.

Cindi zmarszczyła czółko.

- Antonelli, Antonelli... Skąd ja znam to nazwisko? Co on robi? Skąd jest?

- Z LA. Pracuje w policji.

- Policjant? Naprawdę? - Cindy przewróciła oczami, po czym triumfalnie zawołała: - Wiem! Tam był przed laty baseballista Tony Antonelli. Ojciec mi mówił, że to największy gracz od czasów DiMaggio.

- To ojciec Steve'a. Wstyd powiedzieć, ale ja nigdy o nim nie słyszałam.

- Bo się nigdy nie interesowałaś sportem. Był gwiazdą. I jaki on jest? Co robiliście?

Wzruszyła ramionami.

- Mniej więcej to, co myślisz, jak sędzę. Pływaliśmy w oceanie. Och, Cindi, jaka tam była piękna plaża! Laguna osłonięta od dużych fal, coś jak ogromny basen kąpielowy. Kobieta, która usługiwała, jest wspaniałą kucharką, przejadaliśmy się. Chodziliśmy po wyspie, oglądaliśmy zachody słońca. No wiesz, takie tam.

- Nie przerywaj! - Cindi zaprotestowała z irytacją. -

A w nocy? Przychodził do ciebie? Na pewno przychodził!  
I co?

- Cindi, naprawdę masz tylko jedno w głowie.

- No dobra, to co robiłaś, żeby się rozerwać?

- Dom był wyposażony jak prywatny klub. Był bilard, stół tenisowy i rozmaite gry.

- Był zdziwiony, jak dobrze grasz w bilard? A może pozwalałaś mu wygrywać, żeby go nie urazić?

- Nie. Puściłam go w samych skarpetkach.

- Dosłownie?

Robin wywróciła oczami.

- Nie, nie dosłownie. Przez cały czas zachowywał się jak džentelmen.

Cindi wzięła ją za rękę i pogłaskała pocieszająco, z siostrzanym współczuciem.

- Och, kochanie. Tak przykro mi to słyszeć. Myślisz, że jest gejem?

- Nie! Na pewno nie jest gejem. To znaczy, był mną zainteresowany. Pocałował mnie kilka razy. Dał mi wizytówkę i powiedział, że chciałby kontynuować znajomość.

- Uff - Cindi wstała. - Pięć dni sam na sam z seksownym włoskim ogierem i jedyne, co umiesz o nim powiedzieć, to że był miły i džentelmeński. Nudno, jak dla mnie. No to czemu mało mi tu nie zasnęłaś? Jeszcze przed kolacją!

Robin wyciągnęła się na łóżku.

- Odpoczywam. Byłam cały czas na nogach. Teraz ty opowiadaj, co straciłam.

- Mam tyle do opowiedzenia! Aż nie wiem, od czego zacząć. Ubieraj się chodź na kolację. Wieczorem ma być

jakiś wielki show na pokładzie. Musimy skorzystać z tej końcówki, ile się da. Pojutrze już będziemy w Miami.

Wieczorem udały się do jednego z barów pokładowych, zamówiły drinki tropikalne udekorowane owocami i parasolkami i wyciągnęły się na leżakach. Nocna bryza uprzyjemniała wieczór. Robin patrzyła w gwiazdy i zastanawiała się, co teraz robi Steve. Czy też patrzył na gwiazdy? Czy myślał o niej? Tęsknił?

Ona tęskniła. Ale dostrzegła, jak łatwo było wrócić do towarzystwa najlepszej przyjaciółki. W jej myślach wyspa zdawała się odpływać gdzieś w jakieś czarodziejskie miejsce, gdzie oddała się swemu księciu z bajki. Gdyby zdarzyło się między nimi cokolwiek więcej, zepsułoby to atmosferę. Więc dlaczego tak za nim tęskniła? Czemu chciała opowiedzieć mu o dzisiejszym wieczorze, sprzedać kilka świeżo zasłyszanych dowcipów?

Pragnęła podzielić się z kimś tym, co się zdarzyło, a jednak, mimo że Cindi wręcz się napraszała, by usłyszeć całą historię, nie była w stanie się przed nią odsłonić. Nie było słów, żeby opisać to, co przeżyła ze Steve'em.

- Śpisz? - spytała Cindi.

Robin uświadomiła sobie, jak długo się nie odzywała.

- Nie, nie śpię. Opowiedziałas mi wszystko, co robiłaś, co widziałas, ale zupełnie nic - urwała dramatycznie - o mężczyźnie. Na pewno kogoś spotkałaś.

Ci dni zaśmiała się.

- Owszem.

- Ciekawe! Nic o nim nie wspomniałaś, a mnie tak wypytywałaś!

- Bo wiesz, on chyba zaczął ze mną rozmawiać, bo oboje byliśmy sami i trochę czułam się winna. To znaczy, nie chciałam, żebyś pomyślała, że bez ciebie się puszczam na ulicach.

- Wcale tak bym nie pomyślała. Opowiedz!

Cindi uśmiechnęła się z rozmarzeniem.

- Nazywa się John Taylor. Chodzi do Yale, będzie prawnikiem. Miał spędzić z kumplem wakacje na Wyspie Świętego Krzyża, ale tamten zrezygnował w ostatniej chwili i John przyjechał sam. Powiedziałam mu, co się z tobą stało, i uznaliśmy, że dotknął nas ten sam los. Większość dnia byliśmy razem. Naprawdę mi się spodobał. I on też myślał, że jestem fajna. Trudno wytłumaczyć, czasami kogoś spotkasz i od razu czujesz się z nim tak, jakbyście znali się długo.

- Wiem.

Cindi wzruszyła ramionami.

- Naprawdę spędziliśmy fajny dzień, wymieniliśmy numery telefonów i adresy, ale nie będę wyczekiwać z zapartym tchem.

- Ani ja.

Wczesnie rano Robin zbudziła się z bolesnymi skurczami i świadomością, że na pewno nie jest w ciąży. Ulżyło jej. Ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebowała, była niechciana ciąża. Przypomniała sobie, co mówił Steve. Chciałby mieć z nią dziecko. Zapragnęła zadzwonić do niego i powiedzieć, że na razie nic z tego.

Czuła się zupełnie inaczej niż tamta kobieta, która w zeszłym tygodniu wybrała się oglądać baseny przypływowo - ta, której największym zmartwieniem była nadopiekuń-

czość braci. Teraz zastanawiała się nad związkiem z mężczyzną mieszkającym o tysiące mil, którego dotyk przyprowadził ją o dreszcze...

Wzięła środek przeciwbólowy i położyła się. Kiedy wpadła Cimdi, Robin powiedziała jej, że zostanie w łóżku do końca dnia. Nazajutrz będą już w Miami, a stamtąd polecą z powrotem do Teksasu.

Kiedy wróci do domu, zdecyduje, co robić.

Była już w domu od trzech dni. Cindi wyjechała dopiero przed wieczorem, więc po raz pierwszy naprawdę była sama. Wyciągnęła z portmonetki wizytówkę Steve'a, położyła obok telefonu i wybrała jego domowy numer.

- Proszę zostawić wiadomość - powiedziała automatyczna sekretarka głosem Steve'a. W sumie nie spodziewała się, że podniesie słuchawkę. Na pewno był jeszcze na wyspie. Przełknęła ślinę i zaczęła mówić:

- Cześć, Steve. Tu Robin. Dzwonię, żeby powiedzieć, że wszystko ze mną w porządku. Nie ma żadnych długotrwałych konsekwencji pobytu na wyspie. Moje życie wróciło do normy. Wczoraj zaczęłam nowy semestr. Tej wiosny będę naprawdę zajęta. Chciałam ci raz jeszcze podziękować za twoją gościnność. Było mi bardzo miło cię poznać. Dziękuję, że ofiarowałeś mi takie niezapomniane wakacje.

Tak. Miała nadzieję, że brzmiała wystarczająco zwyczajnie. Nie chciała, by odniósł wrażenie, że cały czas siedzi przy telefonie i czeka na wieści od niego.

A potem minął tydzień.

A potem kolejny.



I jeszcze jeden...

A on nie zadzwonił.

W końcu uznała, że wszystko, co mówił jej Steve Antonelli, było kłamstwem. Uświadomiła sobie, jaka była naiwna, sądząc, że się z nią skontaktuje. I to on miał czelność pomawiać ją o wakacyjny flirt! Śmieszne. Nic dziwnego, że oskarżenie przyszło mu tak łatwo - on sam miał właśnie to przez cały czas na myśli. I pomyśleć, że uwierzyła w jego szczerość, gdy mówił o małżeństwie! Jaka była naiwna! Teraz pewnie zaśmiewał się do łez z kolegami.

Szkoda, że nie kazała mu naprawdę zapłacić za te wszystkie przegrane partie pokera i bilardu. Wzięła do ręki wizytówkę, którą jej dał - a właściwie wcisnął - i pokręciła głową z pogardą. Dość tego snucia się ze smętną miną, zdecydowała i wyrzuciła wizytówkę do kosza. Pójdzie sobie do kina, rozejrzy się za przyjaciółkami, pogra w bilard. Cokolwiek, byle nie siedzieć ciągle w domu przy telefonie.

Jeśli o nią chodziło, Steve Antonelli był historią.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

*Los Angeles, Kalifornia*  
*późny marzec*

Steve zlustrował wzrokiem stojący przed nim szereg, szukając podobieństwa do Robin. I rzeczywiście, dopatrywał się u jednego głębokich, zielonych oczu, rudej czupryny u drugiego. To musieli być ci sami bracia, o których tyle mu opowiadała. Ci, co uczyli ją grać w bilard i w pokera.

Trochę trudno mu było wyobrazić sobie ją w ich towarzystwie, ale czy on tak naprawdę znał Robin?

- Robin was tutaj przysłała? - spytał w końcu z ciekawością. Z początku żaden nie odpowiedział. Potem najstarszy sięgnął do kieszeni i wyjął jego wizytówkę. Podał mu ją.

- Ty jej to dałeś?

Wziął kartę i odwrócił na stronę zapisaną ręcznym pismem.

- To nie jest odpowiedź na moje pytanie. Czy Robin wie, że tu jesteście?

Mężczyźni zaczęli przestępować z nogi na nogę, ale milczeli. Steve skrzyżował ramiona na piersi.

- Zaczynam łąpać, co jest grane. Robin mówiła mi

o was, chłopaki, jak uwielbiacie wpieprzać się w jej życie, śledzicie ją jak zgraja psów i zastraszacie każdego, kto się za nią obejrzy. I teraz znowu węszyć. Nie byliście z nią na wakacjach i myślicie, że każdy, kto ją spotkał, musiał ją automatycznie wykorzystać?

- Chcesz powiedzieć, że jej nie wykorzystałeś? - odezwał się Jim.

Steve wytrzymał ciężkie spojrzenie.

- Właśnie to mówię. To i tak nie wasza sprawa, ale nie dałem jej wizytówki po to, żebyście dopadli mnie tu i zaciągnęli do Teksasu, by zrobić z waszej siostry porządną kobietę. Wręczyłem jej wizytówkę, bo miałem nadzieję, że zechce utrzymać ze mną kontakt, może poznać mnie lepiej. Ale dała mi jasno do zrozumienia, że sobie tego nie życzy.

- O? A jak to zrobiła? - zapytał wyglądający na najstarszego.

Steve uśmiechnął się krzywo.

- Celowo podała mi zły numer telefonu. Dodzwoniłem się do jakiegoś faceta, który w ogóle jej nie znał. Kiedy nie mogłem jej znaleźć w spisie telefonów, domyśliłem się, że po prostu nie chciała mnie więcej widzieć.

- Cindi coś mówiła, że Robin nie chciała z nim rozmawiać - mruknął jeden pod nosem.

Najstarszy wystąpił do przodu.

- Słuchaj, może źle się do tego zabraliśmy. Masz coś przeciwko temu, żebyśmy zaczęli od początku?

Zanim Steve zdążył powiedzieć, żeby zaczęli od wyniesienia się z jego domu w cholere, najstarszy ciągnął dalej.

- Jestem Jason McAlister. To moi bracia, Jim i Josh,

Obawiam się, że Robin mogła nieco wprowadzić cię w błąd co do nas.

- Nie sądzę. Włamywanie się i nachodzenie jest nielegalne. Fakt, że postąpiliście tak wobec funkcjonariusza policji, zakrawa na szczyt arogancji. Nie mam żadnych wątpliwości, że wasza trójka mogła zmienić jej życie w piekło. I teraz wiem, dlaczego nie chce mieć nic do czynienia z żadnym mężczyzną.

- Zaraz, poczekaj chwilę - Josh zapalał oburzeniem.

- To, że pracujesz dla policji, w niczym ci nie pomoże!

Steve spojrzał na Jasona.

- Ktoregoś dnia gorąca głowa twojego brata wpędzi go w kłopoty.

Jason niemal niezauważalnie skinął głową i zwrócił się do Josha.

- Wyluzuj, braciszku. Wiemy, jaki jesteś twardy.

Steve miał ochotę się uśmiechnąć na widok rumieńca wypełzającego na twarz upomnianego. Ten chyba był najbardziej podobny do Robin. Steve opuścił ręce i rzekł:

- No dobra, z pewnością musimy porozmawiać. Nie wiem jak wam, ale mnie przyda się kawa. Chodźmy na dół, nastawię czajnik - ruszył ku drzwiom, tak jakby nikt nie blokował mu drogi. Josh nie drgnął, ale Jim posłał mu krzywy uśmiech i chłopak ustąpił z drogi.

- W porządku, może być. Trochę czasu minęło, zanim ostatnio wrzuciliśmy coś na ruszt - powiedział Jim.

- A tak w ogóle jak się tu dostaliście? - zapytał Steve już na dole.

- Jase przywiózł nas samolotem. Wynajęliśmy samo-

chód na lotnisku. Chcieliśmy, żeby jak najmniej osób wiedziało o naszym pobytku - wyjaśnił Jim.

- Macie świadomość, że mógłbym was wszystkich areztować?

Jim uśmiechnął się szeroko.

- Tego nie zrobisz. To nie najlepszy pomysł, żeby zacząć pożycie małżeńskie od wsadzania szwagrów do więzienia.

Steve zamknął oczy i policzył w myślach do dziesięciu.

- Słuchajcie, nie wiem, skąd wzięliście pomysł, że mam zamiar ożenić się z Robin, ale jesteście w błędzie.

- Wrócił pamięcią do uprzejmej, krótkiej wiadomości, którą odebrał po powrocie. To był ewidentny całus na pożegnanie. Chociaż wtedy tak tego odebrał.

Jason i Jim spojrzeli na Josha.

- No dalej... powiedz mu - rzucił Jason.

Steve zagryzł wargę, by nie parsknąć śmiechem na widok przerażenia na twarzy Josha.

- Nie mogę o tym mówić. Wiecie o tym. Obiecałem Cindi, że nie pisnę słówka.

- Już złamałeś obietnicę, kiedy powiedziałeś nam. Teraz powiedz jemu.

Josh westchnął i spojrzał niechętnie na braci.

- No dobra, ale Cindi mnie zabije.

- Założę się, że najpierw zrobi to Robin - rzekł Steve.

- Zależnie od tego, co powiesz, może i ja stanę w kolejce.

Nalał wszystkim kawy i pogrzebał w lodówce. Znalazł jakieś bułki, które wsadził do opiekacza. Potem usiadł i czekał. Josh podrapał się za uchem.

- No to... wpadłem na Cindi drugiego dnia w szkole

i pytałem, jak tam Robin. Powiedziała mi, że się o nią martwi.

Steve zeszywniał. Czy stało się coś, o czym nie wiedział? Wiadomość na sekretarce zawierała ukryte przesłanie, że Robin nie zaszła w ciążę. Może z tym też kłamała?

- Czy mówiła, o co chodzi? - zapytał, gdy Josh zamilkł. Chłopak popatrzył na niego.

- Tak. Mówiła, że Robin nie jest sobą, odkąd wróciła z rejsu. I wymknęło jej się, że Robin zgubiła się na wyspie na pół rejsu, o czym kochana siostrzyczka zapomniała nam wspomnieć. Zacząłem drażnić temat. I wtedy Cindi dała mi tę wizytówkę. Znalazła ją w ich koszu na śmieci i rozpoznała twoje nazwisko. Robin wspomniała, że też byłeś na tej wyspie, ale odkąd wróciła do domu, nie chciała o tobie rozmawiać. Cindi powiedziała, że Robin jakby się postarzała...

- A może po prostu dorosła - rzucił sarkastycznie Steve.

Jason oparł się na krześle.

- Jestem tego samego zdania - powiedział. - I zastanawiałem się, w jaki sposób młoda, bardzo ładna, bardzo niewinna dziewczyna może nagle dorosnąć w ciągu kilku dni sam na sam z facetem, którego Cindi określała ciągle jako włoskiego ogiera.

- Co? - Steve omal nie wypuścił z rąk filizanki.

Josh odparł usprawiedliwiająco:

- Cindi tak o tobie mówiła. Myślałem, że może to jakiś pseudonim albo co. Z tego, co o tobie wiedzieliśmy, mogłeś równie dobrze robić za strip-teasera w nocnym klubie.

Steve parsknął śmiechem. Mógł albo się roześmiać,

albo palnąć chłopaka w twarz. Cała sprawa robiła się coraz dziwniejsza.

- Powiedzcie, czy dobrze myślę. Martwicie się o siostrę, bo ostatnio zachowuje się bardziej dojrzałe, tak?

Jason oparł łokcie na stole i pochylił się, patrząc na Steve'a chłodno i twardo.

- Przyjechaliśmy tu, chłopie, bo uważam, że na wyspie stało się coś, do czego dojść nie powinno. Tak myślę. To jedyne wytłumaczenie jej dziwnego zachowania. Nie lubię owijać w bawełnę ani nie będę zadawał ci bezpośrednich pytań, na które odpowiesz stekiem kłamstw. Powiedzmy, że znam ludzką naturę. Tak jak ja to widzę, umieszczasz dwoje atrakcyjnych ludzi razem na wyspie na kilka dni i jedno prowadzi do drugiego. Dodajmy do tego, że jak mówi Cindi, Robin nie usłyszała od ciebie słowa, odkąd wróciła...

- Jasne, że nie słyszała! Przecież mówiłem, że dała mi cudzy numer telefonu, bo nie chciała więcej ze mną rozmawiać!

Jason ciągnął dalej, jakby nie słyszał wypowiedzi Steve'a.

- ...a zatem twój pobyt na wyspie będzie prowadził do małżeństwa przed upływem miesiąca.

- Nie możecie nas zmusić do małżeństwa - powiedział Steve, świadomy, że to zabrzmiało wyzywająco. Ale nie dbał o to. Będzie szczęśliwy, jeśli nigdy w życiu nie zobaczy już żadnego McAlistera.

- Tak uważasz? - zapytał Jason, przeciągając słowa.  
- No to stań z boku i popatrz.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Steve przechadzał się po kampusie Uniwersytetu Teksasńskiego, podziwiając budynki, pomniki i stadion. Zdziwił się wysoką, jak na tę porę roku, temperaturą. Spojrzał na zegarek. Według Josha, Robin miała kończyć zajęcia za dziesięć minut. Zaplanował przechadzkę tak, żeby znaleźć się akurat przed wyjściem.

Jedno, co mógł powiedzieć o Teksasńczykach, to że byli zdecydowani w dążeniu do celu. Znalazł się tu na skutek zawartego z nimi kompromisu. Zgodzili się nie zmuszać go do małżeństwa, jeżeli poleci z nimi do Teksasu i spotka się z Robin. O ile się da, ustalili też, co się zmieniło w jej zachowaniu, że tak niepokoi Cindi. Jeśli Robin jasno powie, że nie chce mieć z nim do czynienia, puszcza go wolno. W ich mniemaniu był to zapewne szczyt łaskawości.

Nie obchodziło ich, że nie miał już więcej urlopu i że za wyprawę do Teksasu uderzą go po pensji. Ale Steve wiedział, że skoro już przyjaciółka i bracia Robin martwią się o nią, nie będzie mógł zapomnieć o tym wszystkim, jeżeli nie dowie się, co się działo. Nawet jeśli czekało go ostatnie - niewątpliwie poniżające - spotkanie z Robin. Poniżające było zresztą już to, że tak bardzo chciał ją zobaczyć. Na tyle, żeby nakłamać kapitanowi o jakiejś pilnej sprawie rodzinnej.



W miarę, jak zbliżała się właściwa godzina, robił się coraz bardziej zdenerwowany. A jeśli jej nie pozna? Widział tu już kilka wysokich i szczupłych dziewczyn przechadzających się po kampusie. Wszystkie były podobnie ubrane - w wytarte dżinsy i przyduże swetry lub koszule, z włosami ukrytymi pod czapką lub kapeluszem. Kłopotliwa prawda była taka, że nie był pewien, czy rozpozna Robin ubraną, o czym jednak nie wspomniał jej braciom.

Okazało się, że niepotrzebnie się niepokoił. Poznał ją natychmiast po gracji ruchów i przekrzywionej główce z falą rudych włosów. O tak. Poznałby ją wszędzie.

Nie poznała go, ale nie miała powodu, aby mu się przyglądać. Bracia zasugerowali, że może lepiej byłoby ją zaskoczyć. Właściwie zdecydowali, że im mniej dowie się o ich związku z jego niespodziewanym przybyciem, tym większe szanse na harmonię w rodzinie. Spodziewał się, jak Robin zareaguje na wieść o ich podróży do Kalifornii - a był zdecydowany ją o tym poinformować - więc nie dziwiła go ich obawa. Nie było mu ich żal. Nauczyli się mieszać do cudzego życia, nawet do życia najbliższych i najwyższy czas, by dostali nauczkę.

Zaczekał, aż niemal się z nim zrównała i wymówił jej imię. Podskoczyła, jak porażona prądem, i odwróciła się ku niemu gwałtownie.

Straciła na wadze, a cienie pod oczami wskazywały na nieprzespane noce. Otworzyła szeroko oczy i pobladła pod opalenizną. Postąpił szybko ku niej i wziął ją pod rękę, bojąc się, że zemdleje. Wyszarpnęła ramię natychmiast.

- Co ty tu robisz? - rzuciła, rozglądając się trwożliwie, jakby bojąc się, że ktoś zobaczy ich razem. Jej zachowanie potwierdziło jego domysły - nie miała ochoty go widzieć. Ale już tu przyjechał i stawi czoło sytuacji. Nikt nie posądzi go o tchórzostwo.

- Zastanawiam się, czy jest tu jakieś miejsce, żeby napić się i może porozmawiać.

Pobladła jeszcze bardziej, choć nie sądził, że to możliwe.

- Nie rozumiem, po co przyjechałeś - powiedziała.

- Wiem i dlatego proponuję jakieś bardziej prywatne miejsce, żebym mógł wytłumaczyć.

Rozejrzała się po ludziach wokół.

- No dobrze - powiedziała bez entuzjazmu.

Nie spodziewał się aż takiej niechęci. Przecież dała mu jasno do zrozumienia, przez nagraną wiadomość i fałszywy numer, że pozbyła się go ze swego życia. I dobrze, jeśli o niego chodziło. Miał co robić i bez niej. Gdyby tylko nie ci cholerni braciszkwowie...

Raz jeszcze ujął ją pod ramię i poprowadził na parking.

- Dokąd idziemy? - zapytała z niepokojem.

- Nie porywam cię, jeśli to masz na myśli. Idę po samochód. Pomyślałem, że znikniemy z kampusu, jeśli nie masz nic przeciwko. A w ogóle co się z tobą dzieje? Zachowujesz się, jakbym był niebezpieczny. Myślę, że to ważne, żebyśmy porozmawiali. Inaczej bym nie przyjeżdżał.

Spojrzała na niego, ale tylko na chwilę, jak gdyby raził ją sam jego widok. Coś się z nią działo i nie wyjedzie z Teksasu, zanim dowie się, o co chodzi.

Otworzył przed nią drzwi wynajętego samochodu, potem obszedł go wokół i siadł za kierownicą.

- Dokąd? - zapytał.

Wskazała mu drogę kilka przecznic dalej, do restauracji z kilkoma stolikami na zewnątrz, w cieniu dużych drzew. Znaleźli wolny stolik, zamówili drinki i usiedli, patrząc na siebie w milczeniu.

- Wyglądasz, jakbyś nie spała kilka nocy - stwierdził w końcu. Wzruszyła ramionami.

- Mam ostatnio dużo nauki - prześliznęła się po nim spojrzeniem. - A ty wyglądasz, jakby przysłużyły ci się wakacje na wyspie.

- Słusznie. Szczególnie okres spędzony razem z tobą.

- Nie wracamy do tego, dobrze?

Przyglądał jej się długo, a potem oparł na krześle ogarnięty niepokojem. Co takiego jej zrobił, że nie chce nawet na niego patrzeć?

- Przepraszam - rzekł w końcu.

Przyniesiono drinki z koszykiem chrupków i miską czerwonej fasoli. Sięgała właśnie po chrupki, gdy się odezwał. Zerknęła na niego.

- Za co? - spytała ostrożnie.

- Za cokolwiek, czym mogłem sprawić, że tak mnie znienawidziłaś.

Rozszerzyła oczy i zaczęła się śmiać, ale nie było wesołości w tym śmiechu.

- No to policzmy możliwości... - zaczęła. - Może za to, że poczułam się jak naiwna idiotka? Za zrobienie dramatycznej sceny, gdy wyjeżdżałam, że jestem taka wyjątkowa, że tyle między nami zaszło, że małżeństwo

i tak dalej, kiedy to wszystko była tylko zabawa i twoje gierki. Nigdy w to nie wierzyłeś. I ty pomawiasz mnie o tchórzostwo? Ja przynajmniej byłam szczerą, kiedy mówiłam, że jestem w rozterce, bo wszystko stało się za szybko. Chciałam dać nam czas, żeby to rozwinęło się naturalnie... a ty dałeś mi odczuć, że to niby ja ciebie wykorzystałam!

Potrząsnął głową.

- Robin, ciężko cię pojąć. W jaki sposób, jeśli zechcesz mi wyjaśnić, nasz związek miał rozwinąć się naturalnie, jeśli celowo dałaś mi zmyślony numer? Nie wspominając już o tym zbywającym telefonie, który odebrałem po powrocie.

- Nie wiem, o czym mówisz. To nie był zmyślony numer. A wiadomość wcale nie była zbywająca. Dałam ci ostrożnie znać, że nie jestem w ciąży i nie musisz się przejmować - gdy mówiła, jej twarz robiła się czerwona, napięta, a głos coraz silniejszy.

Steve miał do czynienia z wieloma ludźmi w różnych sytuacjach. Znał się na ludziach. Było dla niego oczywiste, że Robin święcie wierzy w to, co mówi. Zastanowił się. Może i ta wiadomość nie była taka na odczepnego? Za pierwszym razem uznał ją za uprzejmą i nawet ucieszył się, że zadzwoniła. Wyciągnął portfel i odnalazł dowód rzeczowy. Jako dobry glina, nigdy nie wyrzucał dowodów, choćby i już nie były więcej potrzebne. Teraz podał jej karteczkę bez słowa i skrzyżował ramiona na piersi. Spojrzała na karteczkę, potem na niego.

- Czy to ma być jakiś argument? Jeśli tak, to do mnie nie trafia.

- To jest numer telefonu, który od ciebie dostałem. Należy do gościa o nazwisku Greg Hanson.

- Bzdura. Źle wykręciłeś numer.

- Mogłem. Raz. Może dwa. Ale wydzwaniałem tyle razy, że zdążyliśmy przejść z Gregiem na ty.

Raz jeszcze przyjrzała się karteczce.

- Dzwoniłeś 555-2813?

- Chyba 2873.

- Nie. Mój numer to 2813, tak jak tu napisałam. O, tutaj - stuknęła paznokciem.

- To nie jest jedynka, tylko siódemka.

- Przepraszam, ale chyba lepiej znam swój numer telefonu.

- Ja wykręcałem siódemkę.

- No to brawo.

Spojrzeni na siebie z gniewem i frustracją. Steve podniósł do oczu karteczkę. Skończył drinka i wezwał kelnera, by zamówić następny. Zaczynał czuć się lepiej z tym wszystkim. Dużo lepiej. Nawet miał powód, by być wdzięczny wścibskim braciom Robin. Zaczął niepewnie:

- A więc naprawdę dałaś mi dobry numer. Chciałaś, żebym do ciebie zadzwonił.

Łypnęła na niego gniewnie.

- A myślałaś, że mogłabym... po tym wszystkim, co przeżyliśmy... - i wtedy coś się zmieniło, światło w jej oczach albo wyraz jej twarzy, tak jakby w tej chwili coś do niej dotarło. Przechyliła głowę i obdarzyła go ciepłym, serdecznym uśmiechem.

- Próbowałeś się do mnie dodzwonić - powiedziała

z zachwytem, a potem spuściła głowę. - A ja myślałam, że zapomniałeś o mnie.

- Co?

Wzruszyła lekko ramionami.

- No, skoro się nie odezwałeś, myślałam... - niedokończone zdanie zawisło w powietrzu.

- Myślałaś, że wszystko, co mówiłem na wyspie, było kłamstwem - dokończył za nią. Skinęła głową. - No to dziękuję za zaufanie.

- A ty niby mi ufałeś? Uznając, że dałam ci zły numer, żebyś nie mógł mnie odnaleźć?

Znów starły się ich spojrzenia.

- Czy zwróca państwo uwagę na propozycję szefa kuchni na dziś wieczór, czy wolą państwo zapoznać się z menu? - zapytał kelner. Steve spojrzał na niego mętym wzrokiem. Pociemniało już, odkąd przyszli, a na niebie zapalały się gwiazdy. Stoliki powoli się zapełniały.

- Niech nam pan da minutkę, dobrze?

Kelner skłonił się i odszedł. Steve spojrzał na Robin.

- Nie wiem jak ty, ale ja umieram z głodu. Masz ochotę zostać i coś zjeść?

Też dopiero teraz zauważyła, że robi się tłoczno. Zadrgały jej usta, jak gdyby w powstrzymanym uśmiechu.

- Jeżeli i ty masz ochotę - powiedziała z godnością, ale nie dający się powstrzymać chichot zniweczył efekt.

- Nie mogę uwierzyć, że kłócimy się o to, kto jest bardziej poszkodowany. A ty?

- Trzeba przyznać, że to wielkie nieporozumienie.

Wyciągnęła dłoń i dotknęła jego ręki.

- Dziękuję, że pokonałeś swoją dumę i przyjechałeś tu do mnie - powiedziała miękko. - Bardzo za tobą tęskniłam, ale nie chciałam się narzucać. Myślałam, że zrobiłam pierwszy krok, dzwoniąc do ciebie.

Skrzywił się, a potem ujął i ucałował jej dłoń.

- Szkoda, że nie powtórzyłaś numeru telefonu. Usłyszałbym.

- Naprawdę moje jedyńki wyglądają jak siódemki?

Roześmiał się.

- Wybaczę ci, dobrze? A teraz zamówmy coś, bo nas stąd wyproszą.

Po kolacji wrócili do samochodu. Chwycił ją natychmiast w ramiona, a ona przylgnęła do niego z czułością. Kiedy się wreszcie oderwali od siebie, Steve ujął ją za policzek.

- Pojedź ze mną do hotelu. Dobrze?

- Chciałabym, Steve, ale nie mogę. Cindi pewnie już i tak zadzwoniła na policję, żeby mnie szukali. Ostatnio zrobiła się taką starą kwoką.

- Zadzwoń do niej. Powiedz, że wszystko gra i że zobaczycie się rano.

Zamrugła i uśmiechnęła się powoli.

- Dobrze.

Zaskoczyła go jej zgoda. Wygląda na to, że naprawdę dojrzała do podejmowania własnych decyzji.

Otworzywszy przed nią drzwi pokoju hotelowego, pokazał telefon. Szybko wykręciła numer.

- Cześć, Cindi, to ja. Wszystko dobrze. Tak, wiem, że się martwisz, dlatego dzwonię. Słuchaj, spotkałam przyja-

ciela, więc na razie mnie nie będzie. Chciałam tylko dać znać, że nic mi nie jest. Pogadamy rano.

Rozłączyła się, obróciła i spojrzała na niego.

- Chciałeś porozmawiać.

- Już chyba mamy to za sobą.

- Tak, chyba tak. Okazuje się, że mamy kłopoty z wzajemnym zaufaniem.

- Chyba mam na to lekarstwo.

- Jakie?

- Pobierzmy się - powiedział lekko.

- Chcesz się ze mną ożenić, bo...?

Podszedł do niej.

- Bo cię kocham - przyznał się cicho. - Musiałem się w tobie zakochać tego pierwszego dnia na wyspie. Od tej pory nie mogę przestać o tobie myśleć. Jesteś przy mnie czy śpię, czy nie, w dzień i w nocy, w pracy i w domu. Serce mi pękało na myśl, że ty tego do mnie nie czujesz.

- Nie oddałabym ci się, gdybym nie wiedziała, jak bardzo cię kocham.

Westchnął z ulgą.

- Na to liczyłem. Tylko dlatego odważyłem się na wyspie do ciebie zbliżyć. Wiedziałem, że twoja niewinność nie wynikała tylko z opiekuńczości braci. Ty sama wybrałaś, żeby nie zbliżyć się do nikogo. To, że zmieniłaś zdanie w moim przypadku, było dla mnie największą zachętą.

- Proszę, nie wspominaj moich braci, dobrze? W domu wreszcie się im postawiłam, powiedziałam, co myślę o ich zachowaniu i że mam tego serdecznie dość. I że jeśli



chcą mieć ze mną jeszcze coś wspólnego, teraz lub później, to mają mnie zostawić w spokoju.

Steve starał się nie dać nic poznać po sobie. Najwyraźniej lekcja nie poskutkowała, skoro postanowili tropić go w Kalifornii. Ale będzie im za to dozgonnie wdzięczny.

- Czy to znaczy, że za mnie wyjdiesz?

Roześmiała się i rzuciła w jego ramiona.

- Jasne, że będę nalegać, żebyś zrobił ze mnie uczciwą kobietę. Ale o szczegółach możemy porozmawiać później

- pocałowała go raz i drugi, coraz bardziej zapamiętała.

- Nie wiem, jak długo możesz zostać...

- Jutro muszę wracać. Zwierzchnicy mocno byli na mnie źli, że po wykorzystaniu całego urlopu proszę jeszcze o wolny dzień.

- Nie ma potrzeby się spieszyć, prawda? Mama uciekła z tatą, żeby wziąć z nim ślub, więc zawsze chciała, żebym miała ślub w wielkim kościele z wszystkimi dekoracjami. A to wymaga przygotowania.

- I jeszcze logistyka przerwania mojej rodziny do Teksasu. Masz rację - rzekł, podnosząc ją w górę. - Szczegóły mogą poczekać. A tymczasem...

Położył ją na łóżku i wolno rozpiął jej koszulę, a potem dzinsy. Chciał niespiesznie nacieszyć się każdym ciałem jej ciała, ale nie był pewien, czy starczy mu powściągliwości.

- Nie spodziewałem się, że jeszcze będę się z tobą kochał - całował delikatnie jej szyję i dekolt. Rozpiął stanik i dotknął językiem koniuszka piersi. Uśmiechnął się, gdy drgnęła.

- Wciąż jesteś ubrany - pociągnęła go za koszulę. -

Nie mogę się przyzwyczaić, że jesteś w ubraniu. Kiedy o tobie myślę, zawsze jawisz mi się z nagim torsem.

Usiadł i rozebrał się szybko, a potem znów padł na łóżko. Przebiegła palcami po jego piersi. Popchnęła go niecierpliwie na plecy i usiadła na nim okrakiem. Pochyliła się i otarła o niego piersiami, a potem zaczęła całować, celowo podniecając i prowokując. Z tłumionym śmiechem rozluźnił się i rzekł:

- Weź mnie. Jestem twój.

- Lepiej bądź - wyszeptała, podniecając go do granic, a potem doprowadziła ich do burzliwego szczytu. Oboje drżeli i tulili się bez tchu.

Zapadli w sen. Steve obudził się jakiś czas potem, czując ruch w pokoju. Otworzył oczy i ujrzał, że Robin już wstała. Wyglądała przez okno, narzuciwszy na siebie jego koszulę. Wyglądała w niej bardzo seksownie. Podwinęła rękawy, a tył zwieszał się jej do ud. Chyba była zamyślona.

- Coś się stało? - zapytał, unosząc się na poduszkach.

Obróciła się ku niemu. Choć lampka nocna na szafce paliła się cały czas, większość pokoju pozostawała w półmroku. Nie widział jej twarzy, ale wyczuwał nastroj.

- Nie chciałabym, żebyśmy w pośpiechu wpadli w coś, czego będziemy potem żałować. Po prostu - wyznała cicho. - To się stało tak szybko. Myślę o rodzicach. Mama znała tatę przez całe życie, urodzili się na sąsiednich ranczach. Mówiła, że nie pamięta czasów, kiedy by go nie kochała. Nigdy nie miała wątpliwości.

- A ty wątpisz w swoje uczucia?

- Teraz nie. Ale zastanawiam się, jak długo wytrwają. Znamy się ledwie kilka miesięcy.

- Wiem. Prawdę mówiąc, moi starzy też wyrosli w bliskim sąsiedztwie. Ale nam to nie było dane, musimy sobie z tym poradzić.

Podeszła i usiadła na skraju łóżka.

- Poza letnimi zajęciami, nigdy nie pracowałam. Nie zrobiłam w życiu jeszcze tylu rzeczy.

- Boisz się, że ja ci tego zabronię?

- Może. Ale chyba bardziej się boję, że tak się w ciebie zapatrzę, że przestanę dbać o własny rozwój.

Usiadł i sięgnął po jej dłoń.

- Skarbie, wyjście za mnie będzie czymś bardzo różnym od tego, co znałaś. Rzeczywiście, musisz zastanowić się, czy jesteś gotowa czy nie. Ale nie będę próbował zrobić cię kimś, kim nie jesteś ani nie chcesz być. Proszę tylko, żebyśmy spróbowali żyć razem, podejmować wspólnie decyzje, rozwiązywać problemy, jakie się pojawiają.

- Będziemy mieszkać w LA, prawda?

- Obawiam się, że tak. Tam pracuję.

- Rozważyłbyś kiedyś objęcie podobnej funkcji w Teksasie?

Zastanowił się chwilę.

- To nie jest wykluczone. Zawsze mieszkałem w Kalifornii, ale jeśli nie będziesz tam szczęśliwa, przemyślę swoje stanowisko - powiedział w końcu.

- Moglibyśmy spróbować. Nie wiem tylko, jak będę się czuć, mieszkając tak daleko od rodziny.

- Chcesz powiedzieć, że będziesz tęskniła za braciszkami?

Zaśmiała się.

- Pewnie tak. Zrobią mi piekło, jeśli poślubię kogoś spoza Teksasu.

- Nie martw się czymś, co może się wcale nie wydarzyć, dobrze? - Pociągnął ją za rękę, aż opadła przy nim na pościel. - Cokolwiek nastąpi, damy sobie z tym radę. Masz moje słowo.

Przytulił ją mocno, zachodząc w głowę, jak jej powiedzieć, że bracia będą uszczęśliwieni ich małżeństwem.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Rano Steve odwiózł Robin do jej mieszkania. Zaparkował przed budynkiem kilka minut po ósmej. O dziesiątej zaczynała zajęcia. Miała ochotę się uszczypnąć, by się przekonać, że nie śni. Steve był tutaj, w Austin. Przyjechał ją odnaleźć. Nie owijał w bawełnę, kiedy rozmawiali. Szczerze i otwarcie oznajmił, że chce się z nią ożenić.

Owszem, bała się, ale nie swojej miłości do niego. Nie była po prostu gotowa, aby taki mężczyzna wszedł w jej życie. Ale, skoro już się pojawił, nie miała zamiaru go wypuścić. Tak jak powiedział, dadzą sobie jakoś radę.

Otworzyła drzwi i weszła do środka. Słońce świeciło jasno, a ona była szczęśliwa.

- Muszę dziś wracać do LA, kochanie, ale jak tylko znajdziesz parę dni, chciałbym, żebyś przyleciała poznać moich rodziców. Pokochają cię.

- Miałam nadzieję, że zostaniesz choć na tyle, żeby pojechać na ranczo rodziców. Muszę im powiedzieć, że nie tylko się zakochałam, ale wychodzę za męża!

- Mamy na to wszystko czas - pocałował ją znowu.

- O, cześć - odezwała się z tyłu Cindi. - Mało nie padłam, jak dzisiaj wstałam i zobaczyłam, że nie wróciłaś na noc.

Robin podskoczyła na dźwięk jej głosu.

- O, cześć, Cindi - powiedziała słabo. - Myślałam, że masz zajęcia od rana.

Cindi uśmiechnęła się zjadliwie.

- Na pewno.

Obejrzała Steve'a od stóp do głów, nie kryjąc wrażenia, jakie na niej zrobił.

- A ty gdzie się ukrywałeś, złotko? Nie wierzę, że Robin spotyka się z kimś, o czym istnieniu nie wiedziałam.

- Steve, jak się domyślasz, ta gaduła to moja przyjaciółka, Cindi Brenham - posłała koleżance przywołujące do porządku spojrzenie. - Cindi, to jest Steve Antonelli.

Cindi chwyciła dłoń Steve'a z nieskrywanym entuzjazmem.

- Tak się cieszę, że mogę cię poznać, Steve. Robin na pewno bała się pokazać mi ciebie, żebym nie... - urwała nagle, przypominając sobie nazwisko. - Momencik. Powiedziałaś: Steve Antonelli? Ten glina z LA? Ten włoski ogier? Super! Nic dziwnego, że tak jej zawróciłeś w głowie. To fantastyczne! - Potrząsnęła energicznie jego ręką. - To wspaniale wreszcie ciebie spotkać. Chciałabym móc powiedzieć, że wiele o tobie słyszałam, ale Robin czasem milczy jak grób. Nigdy nie mówiła, jaki z siebie świetny facet, mała wredna!

Robin była przyzwyczajona do Cindi, ale widziała, że Steve był oszołomiony uwagami dziewczyny. Poczerwieniały mu policzki i nie wiedział, co powiedzieć. Ale Cindi klepała dalej. Robin miała ochotę ją kopnąć.

- Nie mogę uwierzyć, że jesteś tu po takim czasie. Więc Jasonowi udało się cię wytropić? Wiedziałam, że mu

się uda. Jest taki zaradny, jak ma zadanie do wykonania. To chyba wszystko dobrze się skończyło - odwróciła się do Robin. - No to kiedy ślub?

Robin jeszcze nie doszła do siebie po tym, co usłyszała. Spojrzała na Cindi i Steve'a, który stał ze zmieszana miną.

- Jason? - powtórzyła.

- Robin... chciałem... - zaczął Steve, ale nie znalazł słów. Cindi spojrzała na niego.

- Dlatego tu przyjechałeś, prawda? To bracia Robin jednak cię odnaleźli i nakłonili, żebyś wrócił i postąpił godnie z ich siostrą?

Steve unikał spojrzenia Robin.

- Rozumiem, że właściwie to tobie powinienem podziękować za tę niespodziewaną wizytę.

Wzruszyła ramionami.

- Wiedziałam, że coś jest nie tak. Robin chodziła przygnębiona od powrotu z rejsu - wykrzywiła się do niej.

- Ty mała diablico. Nigdy nie dałaś do zrozumienia, że na wyspie coś zaszło, a spędzasz z nim noc jak tylko przyjeżdża.

- Coś ty zrobiła? - spytała Robin szorstko. - Powiedziałaś moim braciom, że... - ścisnęło ją w krtani, gdy wyobraziła sobie przerażającą scenę.

- Tylko dałam Joshowi wizytówkę, którą wyrzuciłaś. Kazałam mu nic ci nie mówić. Tak się tu snułaś, że zaczęliśmy się o ciebie martwić - spojrzała na nich oboje. - Czy coś się stało? Coś między wami nie tak?

- Pobieramy się, jeśli o to pytasz - rzekł Steve.

Robin obróciła się ku niemu.

- Moi bracia przyjechali do ciebie?

Skinał głową, patrząc na nią z obawą.

- Kiedy?

- Przedwczoraj.

- I następnego dnia już byłeś w Austin?

- Właściwie to Jason przyleciał do mnie samolotem.

Zabrałem się z powrotem z nimi.

Robin odwróciła się na pięcie i odsunęła od nich. Stojąc plecami do nich, desperacko starała się zapanować nad burzą emocji. Po kilku głębokich, uspokajających wdechach stanęła twarzą w twarz ze Steve'em.

- Nie mogę uwierzyć - powiedziała. - To zupełny absurd. Moi bracia przywlekli cię do Austin, żeby... żebyś się ze mną ożenił? - Przeniosła wzrok na Cindi. - Myślałam, że jesteś moją przyjaciółką, a ty za moimi plecami celowo opowiedziałaś wszystko braciom, chociaż wiedziałaś, co o tym pomyślę. Powiedziałaś im o Stevie? I pomogłaś im go znaleźć?

Cindi założyła ręce i spojrzała twardo.

- Dla mnie jest oczywiste, że ty też nie byłaś ze mną zupełnie szczerą. Uwierzyłam ci, gdy mówiłaś, że nic się nie wydarzyło na wyspie. Pamiętasz? Był pełnym dżentelmenem, mówiłaś. Pocałował mnie kilka razy, nic więcej. A ja ci wierzyłam, Robin. Nigdy nie miałam powodu, żeby ci nie wierzyć - nabrała oddechu. - I kiedy Josh przyszedł mnie pytać, co się z tobą dzieje, powiedziałam mu, że nie wiem. Rozważaliśmy wszelkie ewentualności. Zajęcia w szkole, zdrowie, nasz rejs. Wymknęło mi się, że poznałaś faceta, i oczywiście musiał się wszystkiego dowiedzieć - wzruszyła ramionami. - Niech ci będzie, wiedziałam, że nie chcesz, żeby twoja rodzina się dowiedziała,



że zgubiłaś się podczas rejsu, ale Robin, musisz zrozumieć, że naprawdę wszyscy się o ciebie martwiliśmy. Pomyślałam, że jeśli twoje kłopoty mają związek z tym mężczyzną, to powinniśmy się czegoś o nim dowiedzieć. Więc tak, dałam Joshowi wizytówkę i tak, wiedziałam, że będą go szukać, choćbyś miała się wściec. Uznaliśmy to za ważniejsze od ryzyka, że zrobisz nam awanturę. I było ważniejsze, bo inaczej on by tu nie przyjechał. Pobieracie się. I co cię tak denerwuje?

Przez chwilę Robin miała ochotę zwymiotować. Nigdy nie została zdradzona przez tyle osób, które kochała i którym ufała. Wyraźnie powiedziała braciom, co sądzi o ich wścibstwie, i obiecali, że nie będą ingerować w jej życie. Ufała im, tak jak ufała Cindi, że zachowa dla siebie jej sekrety.

Zwróciła się do Steve'a.

- Nie przyleciałeś do Austin, bo dałam ci zły numer. Przyleciałeś, bo moi bracia nie pozostawili ci wyboru.

Steve zaprzeczył.

- Robisz z igły widły. Kiedy zobaczyłem, jak się o ciebie martwią, sam musiałem się przekonać, czy z tobą wszystko dobrze. Mam wobec nich dług wdzięczności. Gdyby się nie zjawili, mogłem nigdy...

- Och, teraz rozumiem - przycisnęła ręce do brzucha, modląc się, by powstrzymać torsje. - Wszystko rozumiem. Nigdy bym cię nie zobaczyła. Powinnam się cieszyć, że bracia znów wmieszali się w moje sprawy, żeby o mnie zadbać.

- Kochają cię - powiedział cicho. - Ja też ciebie kocham.

Mężczyźni! Nie mogła uwierzyć, że dla nich to takie proste. Jeśli nie można się z czymś bić albo zjeść, ujeździć czy zaliczyć, nie wiadomo, co z tym zrobić. Steve to wszystko ukartował z jej braćmi. Że też na drugim końcu świata udało jej się znaleźć jeszcze jednego takiego jak oni.

Zerknęła na zegarek.

- Muszę iść na zajęcia - spojrzała na Steve'a - a ty musisz wracać do pracy.

- Nie wyjadę, dopóki tego nie wyjaśnimy, Robin. Wiem, że jesteś zła.

- Masz cholerną rację, jestem zła. Więc pozwól mi wyjaśnić wszystko. Dziękuję ci za oświadczyzny. Udowodniłeś, że jesteś człowiekiem honoru. Ale nie przyjmuję twojej hojnej oferty. Po przemyśleniu uważam, że nie mam wcale ochoty na małżeństwo. Mam serdecznie dość ludzi decydujących za moimi plecami, co jest dla mnie najlepsze i jak należy o mnie dbać. Możesz powiedzieć braciom, że oświadczyłeś mi się, a ja odmówiłam. Dobrze? Odrzucam dżentelmeńską propozycję małżeństwa, które ma ocalić moje tak zwane dobre imię. Do widzenia, Steve.

Odeszła, nie oglądając się za siebie. Pomyślała, że Cindi pewnie uda się pocieszyć Steve'a. Cindi. Jej najlepsza przyjaciółka. Była przyjaciółka. Mogła go sobie mieć, włoskiego ogiera!

Wszystkie lęki Robin zlały się w strach, że wychodząc za Steve'a, trafi do więzienia. Och tak, będzie czuły i troskliwy, i kochający, ale zadba o to, żeby była pod opieką i w izolacji, jak chcieli jej bracia. A nawet gorzej. Mąż będzie miał nawet prawo być opiekuńczy bardziej niż bracia. Chyba by oszalała! Dobrze, że poznała prawdę,

zanim zaczęły układać plany na przyszłość. Miała szczęście.

Wchodząc do mieszkania, otarła łzy.

- Nie płaczę przez niego - powiedziała do ścian. - Płaczę, bo jestem zła. I tyle. Dam sobie radę.

Poszła do swojego pokoju i przebrała się, a potem poszła na zajęcia, świadoma, że Cindi i Steve odjechali samochodem. W tym momencie życzyła sobie, żeby więcej nie musiała ich oglądać.

- Mamo? - wyjąkała Robin do słuchawki późnym wieczorem. - Czy mogę przyjechać do domu na kilka dni? Muszę z tobą porozmawiać.

- Kochanie, nie musisz pytać, czy możesz przyjechać do domu. Zawsze nam miło, kiedy przyjeżdżasz. Ale czy nie stracisz jakichś zajęć? Co się dzieje?

- Wołałabym... wołałabym porozmawiać, jak przyjadę.

- Mam pomysł. Może, to my z tatą cię odwiedzimy? Dawno nie byłam w Austin. Spotkamy się jutro, jak skończysz zajęcia... o której?

- W południe.

- To świetnie. To do zobaczenia, słoneczko.

- Dobrze. I... dziękuję, mamo. Dziękuję ci.

Kristi McAlister odłożyła słuchawkę i zwróciła się do męża.

- Coś się stało, kochanie. Robin jeszcze nigdy tak nie rozmawiała. Starła się bardzo ukryć, że płacze. Powiedziałam, że jutro przyjedziemy do niej do Austin.

Jason zdjął okulary do czytania.

- Myślisz, że chłopcy coś zbroili?

Kristi uśmiechnęła się niepewnie.

- Niewykluczone.

Jason wstał i ruszył w stronę gabinetu.

- Zadzwoń do Jase'a i spróbuję się czegoś dowiedzieć.

Kristi podniosła książkę, którą odłożyła, gdy zadzwonił telefon, ale nie mogła już się skupić na lekturze. Martwiła się o Robin od dawna, odkąd było wiadomo, że będzie jedyną dziewczynką w rodzinie. Jason zawsze mówił, że córka jest żywym odbiciem matki. Ale Kristi martwiła się jej wrażliwością i kruchością, które dzielnie skrywała przed ojcem i dominującymi braćmi. Starła się być taka silna i twarda jak oni. I wszystko było dobrze, aż dorosła, i bracia przekonali się, jaka jest piękna i jak przyciąga męskie spojrzenia.

Kristi czuła się nawet lepiej, wiedząc, że bracia pilnie strzegą Robin. Miała tak wrażliwe serce, że potrzebowała pewnej ochrony przed surowością życia. Kristi wiedziała, że córka nie lubi braterskiego nadzoru, ale skoro czynili to z miłości, miała nadzieję, że Robin nie czuje się zbyt urażona.

Jason wrócił do pokoju błady jak ściana. Aż podskoczyła w fotelu.

- Co się dzieje?

Usiadł obok i objął ją bez słowa.

- To coś poważnego, prawda? - spytała z niepokojem. W końcu mąż zdobył się na odwagę.

- Kochanie, wiem, że chcesz zobaczyć Robin, ale chyba lepiej, żebym sam pojechał z nią porozmawiać.

- O co chodzi? Co chłopcy zrobili tym razem?

Jason kochał żonę miłością nieosłabłą przez lata małżeństwa i chowania dzieci. Wiedział, że synowie nauczyli się opiekuńczości, obserwując jego stosunek do żony i córki. Jak mógł ich winić za to, co sam zawsze robił? Nie chciał sprawić Kristi bólu, a wiedział, że to, co powie, będzie jej ciężko przyjąć.

- Robin nie była z nami całkowicie szczerą, kiedy opowiadała o wakacyjnym rejsie.

- O czym ty mówisz?

Spojrzał w jej wielkie, głębokie oczy.

- Chyba o niczym strasznym. Ale Jase jest przekonany, a i ja też, że Robin miała w tym czasie romantyczną przygodę. Jak tylko chłopcy się o tym dowiedzieli, Jason odnalazł tego faceta. Mieszka w LA, jest detektywem policyjnym i wygląda na porządnego gościa. I zdaje się, że jest naprawdę zakochany w naszej córce, przynajmniej Jase tak myśli.

- Aż nie mogę uwierzyć! I nie powiedziała nam ani słowa, że poznała mężczyznę!

Westchnął ciężko.

- Wiem. To mnie niepokoi. Chcę z nią porozmawiać. O tym, że ukryła to przed nami, i o tym, czemu dzisiaj zadzwoniła do Jase'a, żeby mu powiedzieć, że nie ma już braci...

- O nie! - powiedziała Kristi. - Wiem, że czasem złości się na nich, ale nigdy nie groziła, że wyrzuci ich ze swego życia.

- A dzisiaj to właśnie oznajmiła. Mogę się mylić, ale jeśli będziesz przy tym, to pewnie schowa się za tobą i nie

zechce ze mną rozmawiać. Chcę postawić sprawę jasno, bez owijania w bawełnę.

Kristi pokręciła głową.

- Ale już powiedziałam jej, że przyjedziemy oboje. Może pojedę z tobą do Austin, ale ty porozmawiasz pierwszy? I tak będzie chciała pogadać ze mną, powinnam być w pobliżu.

- Tak chyba będzie najlepiej. Jase myśli, że ci dwoje byli kilka nocy sam na sam ze sobą. Właściwie jest pewien, nie wie tylko, jak długo byli naprawdę, no... razem, jeśli wiesz, co mam na myśli.

- Spali ze sobą.

Zatrząś się na jej dosadne słowa.

- Tak - potwierdził. - Na to wychodzi.

- Czy ten człowiek się przyznał?

- Powiedzmy, że nie zaprzeczał. I powiedział, że chce się z Robin ożenić.

- Więc nie powinno być problemu.

- Teoretycznie. Tylko dlaczego Robin jest taka zdenerwowana? Nie powinna się cieszyć, że jest zakochana? Coś mi się tu nie podoba. Zobaczymy się z nią jutro i spróbujemy się dowiedzieć.

Następnego ranka, gdy ktoś zapukał, Cindi otworzyła drzwi, a ujrawszy ojca Robin, przestraszyła się.

- Cześć, tato Mac. Co ty tu robisz?

- Robin chciała z nami porozmawiać, więc przyjechalśmy tu z mamą. Kristi wybrała się najpierw na zakupy, wysadziła mnie tu wcześniej.

Cindi wygląda jak siedem nieszczęść, pomyślał Jason.

- Co się tu dzieje? - zapytał. Ale Cindi potrząsnęła główką.

- Naprawdę nie mogę powiedzieć. Już dosyć narobiłam szkody - odparła żałośnie. - Robin się wyprowadza, jak tylko znajdzie inne miejsce. Dała mi do zrozumienia, że nie chce mieć ze mną nic wspólnego.

Zmarszczył brwi.

- Nonsens. Jesteście jak siostry.

- Powiedziała, że tym razem przekroczyłam granicę.

- Usiedli oboje. - I chyba ma rację. Myślałam, że robię dobrze, ale tylko wszystko zepsułam.

- Czy chodzi o tego faceta z LA?

Oczy Cindi rozszerzyły się ze strachu.

- O rany! A skąd ty o nim wiesz?

- O niego chodzi?

- Częściowo... właściwie to... Uznała, że zdradziłam jej zaufanie.

- Przez to, że powiedziałaś o nim Joshowi?

Ukryła twarz w dłoniach.

- Tak. Jeszcze nigdy jej czegoś takiego nie zrobiłam, ale tak się o nią bałam! A teraz ona nie chce mnie znać!

- Popatrzyła na zegarek. - Muszę iść. Ona zaraz przyjedzie, lepiej nie będę jej wchodzić w oczy - wstała pośpiesznie. - Naprawdę mi przykro, że to tak wyszło. Mam nadzieję, że kiedyś mi wybaczy.

Po wyjściu Cindi Jason czekał kwadrans, aż usłyszał chrobot klucza w zamku.

Robin wyglądała okropnie. Oczy miała czerwone i zapuchnięte, twarz pobladła, a na jego widok rozpłakała się. Skoczył ku niej i przygarnął do piersi.

- Wpadłaś w kłopoty, córeczko? - wymruczał, głaszcząc ją po głowie. Stali tak bardzo długo, aż Robin uwolniła się i zaczęła wycierać oczy.

- Przepraszam, tato. Nie wiem, co się ze mną dzieje - rozejrzała się. - A gdzie mama?

- Chciała wpaść do paru sklepów, więc kazałem jej, by wysadziła mnie tutaj.

Robin odwróciła się.

- Zjesz kanapkę? Albo napijesz się kawy?

Założyłby się, że dawno nie miała nic w ustach. Mimo że jadł przed godziną, powiedział, że chętnie. Jego czarująca, pełna gracji córeczka nastawiła kawę i szybko zrobiła kanapki. Nie mógł się nadziwić, że był ojcem tak pięknej kobiety. W każdym calu przypominała matkę. Szczerą i impulsywną, ciepłą i kochającą. Serce mu się krajało, bo wiedział, że nie może jej uchronić od cierpienia, które nią targało.

Dopilnował, żeby zjadła, opowiadając jej podczas posiłku o tym, co się działo na ranczu i o wybrykach jej głupiego kota, który objął rządy w domu po tym, jak jego pani wyjechała na studia. Udało mu się nawet kilka razy wywołać uśmiech na twarzy dziewczyny.

Gdy skończyli jeść, Jason oparł się na krzesło.

- O czym chcesz porozmawiać?

- Właściwie to chciałam porozmawiać z mamą - powiedziała niepewnie.

- Aha. Myślisz, że twój stary będzie na ciebie zły?

Przyjrzała mu się z niepokojem.

- Rozmawiałeś już z Jase'em, prawda?

- Nawet jeżeli, co to za różnica?



- Mężczyźni po prostu nie rozumieją - powiedziała po chwili.

- A czego takiego nie rozumiemy? - starał się nie pokazać po sobie rozbawienia.

- Mam prawie dwadzieścia dwa lata. Prawie skończyłam college. Ale nigdy nie byłam samodzielna. Nawet studia nie pomogły, nawet tu zawsze miałam dookoła braci.

- Jesteś na nich zła?

- Męczy mnie to, że ciągle mieszają się do mojego życia.

- Uważasz, że ja i mama też za bardzo ingerujemy?

- Raczej nie. Jesteście tylko bardzo opiekuńczy.

- Kochamy cię.

- Wiem. Ale czasem czuję się aż przytłoczona tą troską. Wszystko, co robię, musi być weryfikowane i komentowane przez rodzinę.

- To ty do nas dzwoniłaś, pamiętasz? Dlatego tu jestem. W czym możemy ci pomóc?

- Potrzebuję moralnego wsparcia. Tylko tyle. Dostałam pracę w firmie, w której pracowałam rok temu. Przez resztę semestru będę pracować na pół etatu. Poszukam sobie mieszkania bliżej firmy. I chciałabym, żeby rodzina zrozumiała, że tego potrzebuję.

- Dobrze.

Czekała, ale nie powiedział nic więcej.

- I tyle? - spytała w końcu.

- Jeśli tego chcesz, zaakceptujemy to. Ustalasz granice, a my będziemy je szanować. Chcemy, żebyś była szczęśliwa. Wierz lub nie, zawsze tylko tego chcieliśmy.

Przytaknęła, wstrzymując płacz.

- Czy czujesz coś do tego mężczyzny, którego poznałaś na wakacjach?

- Jason ci powiedział! Wiedziałam!

Uśmiechnął się.

- Posłuchaj, naprawdę to nie zbrodnia spotkać mężczyznę, który ci się podoba. I chyba jestem trochę zaskoczony, że nigdy nam o nim nie wspominałaś.

- Nie było o czym opowiadać. Myślałam, że to zwykłe wakacyjne spotkanie. Cindi też miała faceta. Napisali do siebie kilka kartek i to pewnie koniec. Nic wielkiego. - Spojrzała na ręce splecione na kolanach. - Dopóki braciśzkowie się nie wmieszali, traktując to jak incydent międzynarodowy. Nigdy już nie będę mogła spojrzeć mu w twarz.

Wyprostował się i pochylił ku niej.

- Ale czy chcesz, kochanie?

Spojrzała na niego z rozpaczą.

- Teraz to już nie ma znaczenia, tato. Powiedziałam mu jasno, że nie chcę go znać. Nie spodziewam się więcej o nim usłyszeć.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

### *Czerniec, dwa lata później*

Robin zasnęła. Telefon zbudził ją trochę po dziesiątej.

- Czy nie mieliśmy dziś grać w tenisa? - spytał Don. Wyprostowała się w łóżku.

- O nie! Budzik nie zadzwonił! Przepraszam.

- Stracimy miejsce na korcie - rzekł z rozczarowaniem.

Nie mogła mieć mu tego za złe. Pracowali razem i oboje lubili grać w tenisa. Nigdy jeszcze nie opuściła ich sobotnich meczów. Aż do dzisiaj.

- Naprawdę mi przykro, Don. Nie wiem, jak to się stało. Chyba będziemy musieli poczekać do przyszłego tygodnia.

- Albo zobaczę, czy ktoś nie potrzebuje partnera.

- Dobrze. Zobaczymy się w poniedziałek - odłożyła słuchawkę z poczuciem winy.

Nienawidziła tego uczucia. Przez ostatnie parę lat tyle się namęczyła z poczuciem winy i potrzebą zadośćuczynienia, że mogłaby zostać świętą.

Po pierwsze, prawie zniszczyła przyjaźń z Cindi.

Po drugie, kiedy spotykała swoich braci, traktowali ją

tak ostrożnie, niezręcznie i na dystans, że chciało jej się płakać ze złości.

W oczach matki widziała czasami wyraźny zawód.

Ale nic nie mogło się równać z przepaścią, jaka otworzyła się w jej stosunkach z ojcem. Kilka razy tłumaczyła mu, że była tylko zła i smutna, kiedy mówiła te wszystkie rzeczy o mężczyznach w ogóle. Nie chciała go zranić. Kiedyś nawet powiedział, że rozumie. Że chciał tylko, żeby była szczęśliwa, i nie miał pojęcia, jak bardzo unieszczęśliwia ją postawa jego i jego synów. I od tego dnia jak gdyby mur wyrósł pomiędzy nią a wszystkimi, których kochała. Wszyscy się odsunęli, daleko, daleko, i uprzejmie pozwalali jej wieść własne życie.

Bardzo samotne życie.

Oczywiście, miała przyjaciół w pracy. Parę razy umawiała się z miłymi facetami. Lubiła swoją pracę. W zasadzie wiodła takie życie, o jakim marzyła, będąc nastolatką. Była wolna. Była niezależna. Była sama. Ale to nie było takie beztroskie życie, jak sobie wyobrażała. I mogła winić tylko samą siebie.

Z Cindi udało jej się zawrzeć niepewny rozejm, głównie dlatego, że Cindi nie była obraźliwa. Robin wyprowadziła się od niej przed końcem studiów, a Cindi zaraz znalazła inną współlokatorkę. Po studiach dostała pracę w Chicago i rzadko pojawiała się w domu. Kiedy przyjeżdżała, spotykały się czasem przy lunchu na plotki, ale to już nie było to samo.

Nic już nie było takie samo.

A trzy tygodnie temu Cindi zawiadomiła ją telefonicznie, że zaręczyła się z facetem, z którym się ostatnio umawiała.

wiała. Roger jakiś tam. Planowali długie narzeczeństwo, ale Cindi zależało, by Robin wiedziała o planowanym ślubie.

Małżeństwo. To było to słowo na M, które zawsze wzbudzało w Robin burzę emocji. Gdyby nie postąpiła wtedy jak kompletna idiotka, byłaby teraz panią Antonelli, żoną Steve'a. Ale ona pozwoliła ponieść się dumie i wyrzuciła go ze swego życia. Nie mogła mieć mu za złe, że więcej już nie próbował.

Czasami myślała o nim. Kiedy widziała romantyczny film, podczas urlopu, a zwłaszcza na walentynki, gdy wszędzie pełno było zakochanych par. Zastanawiała się, czy się ożenił. Pomimo tego wszystkiego, co mówił o niezgodności pracy policjanta i małżeństwa, przecież miał zamiar spróbować razem z nią. Na pewno do tej pory spotkał już kobietę, która nie była taka głupia, żeby mu odmówić.

Wzięła prysznic, przyniosła sobie zza drzwi poranny dziennik i usiadła w kuchni. Przerzuciła kartki. Na trzeciej stronie ujrzała nagłówek, który zmroził jej krew w żyłach: „Kilku policjantów rannych w wojnie gangów w LA”. Przeczytała uważnie, drżały jej ręce. Nie było nazwisk, nie podano, czy rany były poważne. Przy tej liczbie policjantów w LA szanse na to, by Steve był wśród rannych, były niewielkie, ale i tak serce łomotało jej w piersi.

Czuła, że powinna udać się teraz do każdego członka swojej rodziny i przeprosić za to, jak się wtedy zachowała. Musi im powiedzieć, jak bardzo brakuje jej dawnej bliskości i jak bardzo pragnie ją znów odzyskać.

Łzy napływały jej do oczu na samą myśl o tym, co

chciała im powiedzieć. Tak bardzo kochała swoją rodzinę, nigdy aż tak bardzo jak teraz, kiedy wreszcie przyznała i uświadomiła sobie, że to ona była odpowiedzialna za tę okropną przepaść, jaka powstała między nimi.

A Steve? Kiedyś nazwał ją tchórzem i teraz wiedziała, że miał rację. Narzekała na swoje życie i na rodzinę jak głupie dziecko, podczas gdy on na co dzień ryzykował życie na służbie. Z perspektywy czasu widziała, że gdyby naprawdę nie chciał przyjechać do Austin, nic by go do tego nie zmusiło. Nikt nie trzymał mu lufy za uchem, gdy jej się oświadczał!

I nagle, przy kuchennym stole, podjęła decyzję, że pojedzie na urlop do Los Angeles. Miała akurat dwa tygodnie wolnego, które chciała wykorzystać pod koniec miesiąca.

Nigdy nie była w Kalifornii. A gdyby się tam wybrać? Nie dlatego, że Steve tam był, nie. Mógł się do tego czasu wyprowadzić, ożenić, mieć dziecko. Nie, chciała po prostu zobaczyć tamto miejsce. A jeśli już tam będzie, czemu nie miałyby do niego zadzwonić?

Nie dając już sobie czasu na przemyślenia, zadzwoniła do agencji turystycznej i zamówiła wycieczkę. A potem zadzwoniła do rodziców i powiedziała, że przyjedzie do domu, bo chce znów ich wszystkich zobaczyć.

*Trzy tygodnie później*

Szła chodnikiem wzdłuż plaży w Santa Monica. Pogoda była wspaniała. Lekka bryza, chłodne powietrze i ciepłe promienie słońca na plecach. Jej agent polecił hotel w Santa Monica, co przypadło jej do gustu. Pożyczonym

samochodem łatwo mogła się dostać do LA, więc zwiedziła zarówno wybrzeże, jak i doliny.

Wciąż nie mogła przywyknąć do ogromnej ilości kwiatów. Były wszędzie, wzdłuż chodników, w wiszących koszach, na każdym mijanym podwórzu. Przepięknie tu było o tej porze roku. Nic dziwnego, że ludzie zakochiwali się w klimacie południowej Kalifornii. Cieszyła się, że tu przyjechała. Podobały jej się wycieczki po okolicznych wzgórzach, odkrywanie sławnych ulic, takich jak Bulwar Zachodzącego Słońca czy Mulholland Drive, zwiedzanie sklepów przy Rodeo Drive.

Była tu już od tygodnia. Kupiła sobie mapę LA i odnalazła adres Steve'a. Telefon i tak znała na pamięć. Chociaż co właściwie miałyby mu powiedzieć? I bez niej wiedział przecież, że zachowała się wobec niego jak idiotka.

Przeszła na drugą stronę szerokiego bulwaru i ruszyła jedną z głównych ulic, mijając sklepy i restauracje, potem szeregi rezydencji, w końcu dochodząc do parku z kortami tenisowymi. Co za wspaniałe miejsce, pomyślała. Szkoda, że nie miała z kim zagrać. Oczywiście, nie wzięła ze sobą rakiety, ale przyjemnie będzie chociaż popatrzeć, zanim wróci do hotelu.

Znalazła wolną ławkę i przycupnąwszy na niej, oddała się rozmyślaniom.

Nie żałowała impulsu, który pchnął ją tutaj. Ani tego, który kazał jej odwiedzić rodziców. Jak zwykle urządzili przyjęcie na jej cześć, na którym byli wszyscy trzej bracia. Dopiero po przyjęciu powiedziała im, po co przyjechała tym razem. Zanim skończyła, nie było w domu nikogo, kto by nie ronił łez. Uśmiechnęła się

na wspomnienie gorących uścisków, jakie nastąpiły po jej szczerym wyznaniu. A kiedy bracia zaczęli udzielać rad, czego i jak strzec się w LA, wiedziała, że jej wybaczyli. Cierpliwie wysłuchiwała wszystkich przestroż, a kiedy przypadkiem zerknęła na ojca, mrugnął do niej i posłał jej swój specjalny ojcowski uśmiech dla małej córeczki, którego od tak dawna nie widziała na jego twarzy.

Wtedy poczuła, że jest naprawdę z powrotem w domu.

- Hej, wyluzuj się trochę, dobra? - krzyknął Ray przez siatkę. - Zabijesz mnie tymi serwami.

- Podobno jestem dla ciebie kiepskim wyzwaniem? - zaśmiał się Steve.

- Dobra, dobra, to było, zanim wzięłaś więcej lekcji tenisa. Teraz zmuszasz mnie do biegania po całym korcie, nie wiem, czy moje serce to wytrzyma.

- Odpadasz?

- Nie ma mowy! Dalej, daj z siebie wszystko!

Steve był zadowolony. Naprawdę grał dużo lepiej niż parę lat temu. Wziął się nawet do gry w golfa, kojącego nerwy, o ile nie brało się go poważnie. Tyle się zmieniło w jego życiu od urlopu na wyspie.

Ray dołączył do niego, stanęli nad torbami.

- Widziałeś ją?

- Kogo? - rozejrzył się Steve.

- Tamtą rudą na ławce. Widziałem tylko z profilu, ale nie była laska.

Steve nie obejrzał się.

- Nie lubię rudych.



- O, dzięki! - Ray pogłaskał się po czerwonych lokach. - Wiesz, jak zranić męskie uczucia.

- Głupi, nie chodzi o ciebie.

- Kurczę, idzie sobie. Szkoda, że nie zauważyłem jej wcześniej.

Steve zobaczył wreszcie kobietę oddzieloną dwoma kortami. Było w niej coś... w sposobie chodzenia, przechylonej głowie, rudym warkoczem... nie, to niemożliwe. A już myślał, że pozbył się nawyku reagowania na każdą wysoką rudowłosą. Było tu takich pełno. Ale ta wyglądała tak znajomo...

Ktoś krzyknął, a ona odwróciła się twarzą ku nim. Nośła ciemne okulary, ale wiedział już, że to nie pomyłka. Nie było dwóch takich kobiet na ziemi.

- O jasna cholera - mruknął, biorąc się pod boki.

- Mówiłem ci. Jest naprawdę niezła, no nie?

- Poczekaj, zaraz wracam.

Robin podjęła spacer w kierunku morza. Szła powoli, więc nie miał kłopotu, żeby ją dogonić.

- Robin?! - zawołał, gdy był o kilka kroków za nią. Rozejrzała się wokół, zdjęła okulary i spojrzała na niego. Wyobraził sobie, co zobaczyła - po dwóch setach tenisa musiał być rozgrzany, spocony i niezbyt pachnący.

- Steve? - spytała z niedowierzaniem.

- Tak, to ja. Musiałem się przyjrzeć kilka razy, zanim cię poznałem. Kogo jak kogo, ale ciebie się tu nie spodziewałem.

Ray przytruchtał do nich.

- Nie mów mi, że ją znasz! - rzekł z oburzeniem. - Ty to zawsze masz szczęście.

- To jest Robin McAlister, Ray - przedstawił. - Ray Cassidy - mój przyjaciel. Gramy tu co tydzień w tenisa - rozejrzał się. - Dziwne, że tu trafiłaś. Jesteś sama?

Poczerwieniała.

- Tak, hmm. Przyjechałam na urlop.

Nie mógł oderwać od niej oczu. Prawie zapomniał, jaka była piękna.

- Długo jesteś w Kalifornii? - zapytał.

- Jakiś tydzień. I jeszcze tydzień przede mną.

Wtrącił się Ray.

- A skąd jesteś? Może potrzebujesz przewodnika? Chętnie pokażę ci parę nocnych klubów, których pewnie sama nie zwiedziłaś.

Uśmiechnęła się słodko, ukazując dołeczki w policzkach. Steve poczuł tę samą fizyczną reakcję, jakiej zawsze doświadczał. W końcu nie był trupem. Każdy żywy facet by tak zareagował, starczyło popatrzeć na Raya.

- Jestem z Teksasu - odpowiedziała.

- Podwieźć cię do hotelu? Mam samochód zaraz za rogiem i z przyjemnością...

- Nie, dziękuję - wciąż się uśmiechała. - Wolę pospacerować. - Zwróciła się do Steve'a: - Miło cię znowu zobaczyć. Jak ci się wiedzie?

„Jak? Dobre pytanie! Po tym, jak złamałaś mi serce, zdeptałaś moją dumę i zrobiłaś ze mnie idiotę? Wiedzie mi się świetnie, nie dzięki tobie”.

- Nie mogę narzekać. Tak. Jesteś na urlopie. Nie zdecydowałaś się na rejs?

Zaśmiała się tak dźwięcznie, że poczuł się niemal odurzony. Do diabła, że też wciąż tak na niego działała.

- Chyba skorzystałam już z takich rozrywek tyle, że więcej nie można.

- Tak się poznaliście? Na rejsie? - zapytał Ray. - Nigdy nie mówiłeś.

- Nie byłem na rejsie. I to było dawno temu - spojrzał na nią. - A jak twoi bracia?

- W porządku, dziękuję.

- Jesteś szczęśliwa? Masz dobrą pracę?

- Tak.

- Miło to słyszeć. - Zerknął na zegarek. - No to, świetnie było cię znów zobaczyć. Baw się dobrze w słonecznej Kalifornii.

- Hej, jeśli nie masz planów na wieczór, może umówimy się na kolację? - zaproponował Ray.

„Nie. Nie chcę jej na kolacji. Nie chcę być ani chwili dłużej przy tej kobiecie. Jestem zadowolony ze swojego życia, dziękuję bardzo”.

- Z wami dwoma? - spytała zakłopotana.

- No, jeśli Steve ma inne plany, to chętnie sam cię oprowadzę. Przyjaciel Steve'a jest moim przyjacielem - dotknął jej włosów. - My, rudzielce, powinniśmy trzymać się razem.

Steve nie dbał o to, czy Ray się z nią umówi. Co go obchodzi, co ona robi i z kim?

- Właściwie mam plany - zaczął mówić. Wyrzecz jej twarzy nie zdradzał niczego. Jak mógł zapomnieć, jak zielone były jej oczy? Jak jedwabista skóra? Jak przechylała głowę, kiedy do niej mówiono? - Ale mogę je odwołać. Daj mi znać, Ray, co ustaliliście. Może do was dołączę.

Pomachał im i odszedł. Serce łomotało mu w piersi, aż

obawiał się zawału. Jak to się mogło stać? Co za złośliwy przypadek pchnął ją w okolice tego akurat kortu? Ciekawe, czy wpadłby na nią, gdyby był na polu golfowym. Cała ta historia to seria przypadków, począwszy od jej kaprysu, by oglądać baseny przyłykowe, aż do jej potknięcia i upadku, gdy biegła do łodzi. Jeśli jego Anioł Stróż uważał to za dobrą zabawę, będzie musiał złożyć podanie o przydział innego anioła.

Zaczeka na telefon od Raya. Może do tego czasu znajdzie coś innego do roboty. Nie chciał widzieć ich dwojga razem. A jeśli Ray zadurzy się w niej tak jak on? A co, jeśli skończą razem? Jego najlepszy przyjaciel mógł poślubić kobietę, którą... którą on... Nie dokończył myśli. Nie chciał nawet o tym myśleć... W porządku: jedyną kobietę, którą on pragnął mieć za żonę. Jedyną, w której widział matkę swoich dzieci. Jedyną, którą kiedykolwiek kochał.

„No dobra. Zadowolony? Przyznałem to. Ale nic w tym kierunku nie zrobię. Raz już się sparzyłem. Dużo lepiej jest nie być zakochanym. Zdecydowanie wygodniej”.

I nudniej - powiedział wewnętrzny głos. Zignorował go-

Przyjaciel Steve'a był bardzo miły. Umiał ją rozbawić, a nawet uparł się, by odwieźć ją do hotelu, żeby wiedzieć, gdzie jej potem szukać. Zanim byli na miejscu, czuła się, jakby znała go od dawna.

- W porządku - powiedział, pomagając jej wysiąść.  
- Spotkamy się wieczorem, koło wpół do ósmej. Nie mogę uwierzyć, że tak wpadłem na znajomą Steve'a. Mam na-

dzieję, że przyjmiesz mnie na przewodnika na resztę po-  
bytu.

Z uśmiechem zabrała mu swoją dłoń.

- Zobaczmy. Miło się bawiłam, Ray. Zobaczmy się  
wieczorem, dobrze? - Umknęła do hotelu. Dopiero gdy  
dotarła do pokoju, nogi odmówiły jej posłuszeństwa.

Jak to się stało, pomyślała, opadając bezsilnie na łóżko.  
W tłumie ludzi w południowej Kalifornii trafiła akurat na  
Steve'a Antonelli. Czy mówił jej kiedyś, że grywa w te-  
nisa w Santa Monica? Nie pamiętała. Mówił, że mieszka  
niedaleko od plaży i że zamierza spędzać nad morzem  
więcej czasu, jak wróci do domu. Mieszkał w zachodniej  
części Los Angeles, więc było całkiem prawdopodobne,  
że odwiedza właśnie te rejony. Może tak, może podświa-  
domie właśnie tak ułożyła urlopowe plany, żeby mieć  
okazję go spotkać.

A teraz umówiła się na kolację z jego przyjacielem.  
Polubiła Raya, ale obawiała się, że będzie dążył do zna-  
jomości bliższej, niż miała ochotę. Tego tylko brakowało,  
żeby spotykać się z jego kumplem jak odrzucona, nie-  
szczęśliwie zakochana nastolatka, co wiecznie wzdycha  
do ukochanego, którego nie może mieć i kręci się wokół  
jego kolegów.

Przypomniała sobie, że mogła być częścią życia Ste-  
ve'a. Wiedziała, jak rzadką rzeczą jest miłość, wiedziała,  
że to, co czuła do niego, było prawdziwe, ale tak się  
zaangażowała w wojnę z braćmi, że nie umiała docenić,  
ile Steve dla niej znaczył. Czy powinna powiedzieć mu,  
co czuła? Czy to by coś zmieniło?

Rozmowa z rodziną okazała się zbawieniem. Może je-

śli porozmawia ze Steve' em, jeśli powie mu o wszystkim, co czuła przez te dwa lata, może wtedy...? Nie chciała zgadywać, jak by zareagował, ale może skończyłoby się tak dobrze, jak z rodziną? Nie byłoby to wspaniałe zakończenie urlopu?

Była pod wrażeniem, gdy zatrzymali się przed restauracją, o której czytała jako o miejscu spotkań hollywoodzkich gwiazd. Ray podał kluczyki komuś z obsługi, aby zabrał samochód na parking. Usłyszała, jak mówił, że mają rezerwację dla czterech osób. Zdziwiła się. Jeżeli Steve do nich dołączy, nie będzie sam.

Gdy usiedli i zamówili drinki, spytała:

- Zapomniałam zapytać. Czy Steve się ożenił?

Ray zaśmiał się.

- Nie ma mowy. Nie ma zamiaru się żenić, nie przy tej pracy.

Kiwnęła głową.

- Tak właśnie mówił, jak pamiętam. Ale zaciekawiałam się, że zamówiłeś miejsca dla czworga.

- Kiedy z nim rozmawiałem po południu, mówił, że przyjdzie z dziewczyną. Nie wiem z kim, ale za nim zawsze snuje się sznureczek.

Steve z dziewczyną! Ta myśl uderzyła w nią jak grom z jasnego nieba, odbierając oddech.

- O, już idą! - Ray pochylił się i rzekł jej do ucha:

- Jak zwykle, znalazł sobie gorącą panienkę.

W istocie. Kobieta idąca u boku Steve'a była tym wszystkim, czym nie była Robin. Była drobniutka, o krągłych kształtach podkreślonych przez krótką, czar-

ną sukienkę z głębokim trójkątnym dekoltem. Cera o barwie kości słoniowej silnie kontrastowała z czarnymi, falistymi włosami, puszczone luźno na plecy. Kiedy Ray wstał na powitanie, prawie się ślinił. I nie mogła mieć mu tego za złe. Kobieta była oszałamiająca, tak tylko można ją było określić.

Steve objął towarzyszkę ramieniem.

- Tricia, to mój przyjaciel Ray, a to Robin, gość z dalekiego Teksasu.

Tricio uśmiechnęła się, przywitała i usiadła na krześle, które Steve jej podsunął. Robin poczuła się jak w koszmarnej śnie. Usiłowała uczestniczyć w konwersacji, ale przychodziło jej to z trudem. Mogła jedynie śledzić, jak Steve traktował Tricię - dokładnie tak, jak niegdyś ją. Lubił dotykać. I bardzo chętnie dotykał Tricii. Ray też był nią zafascynowany. Tricia miała niski, kuszący głos, który przyciągał mężczyzn jak magnes.

Co gorsza, pomimo wyjątkowej urody, była miłą osobą. I zdawała się nie zauważać wrażenia, jakie wywiera na mężczyznach. Gdyby poznały się w innych okolicznościach, Robin pewnie szybko by ją polubiła. Ale gorące spojrzenia, jakie rzucała Steve'owi, zażyłość, z jaką się do niego zwracała, dotykając dłoni i ręki, błysk w oczach, kiedy się z nim droczyła; wszystko to jasno wskazywało, że Robin nie miała najmniejszej szansy zwrócić dziś na siebie jego uwagi. Dobrze, że ujrzała ten pokaz wzajemnej admiracji, zanim otworzyła przed nim swoje serce.

- Mam świetny pomysł - rzekł Ray przy deserze i kawie. - Chodźmy na parkiet i pokażmy ludziom nasze dziewczyny. Co ty na to, Steve?

Spojrzał na Tricię z niemym pytaniem. Posłała mu psotny uśmiezek i przesunęła mu dłonią po plecach.

- Z przyjemnością - powiedziała.
- Jesteś pewna? - powątpiewał.
- Owszem. Świetnie się bawię.

Robin zmusiła się do uśmiechu.

- Bardzo chętnie - skłamała przez zaciśnięte zęby.

I sama była sobie winna, gdy przez następne godziny musiała oglądać Steve'a i Tricię wywijających latynoamerykańskie tańce, jakby tańczyli ze sobą od lat. Nigdy się nie pochwalił, że lubi tańczyć, że miał wspaniałe wycucie rytmu i płynność ruchów, które boleśnie przypomniły jej miłosne zmagania z nim.

Ray też nie był niezgrabnym tancerzem. Tak dobrze prowadził, że szybko poczuła się swobodnie, idąc za jego ruchami. Zresztą każdy koszmar kiedyś się kończy...

- Chyba zajrzę do toalety, zanim pójdziemy - oznajmiła Tricia, gdy wrócili do stolika. Zerknęła na Robin. - A ty?

- Dobry pomysł.

Toaleta była olbrzymia. Skorzystawszy z ubikacji, Robin usiadła przed lustrem i wyciągnęła grzebień z torebki. Tricia usiadła obok. Robin poczuła się przy niej jak olbrzymka, dysproporcja była uderzająca. Z niezdrową fascynacją obserwowała, jak Tricia przeciągała szminkę po swoich pełnych wargach. Wyobraziła sobie, jak Steve zachłannie wpija się w te soczyste usta, i odwróciła wzrok.

- Świetnie się bawiłam - powiedziała Tricia, chowając szminkę. Wyjęła grzebyk i przeczesała włosy. - Tak się cieszę, że mogłam przyjść.



- Miło było cię poznać - Robin postanowiła być uprzejma, choćby miała się rozpłakać. - Cudowni jesteście ze Steve'em na parkiecie. Jestem pod wielkim wrażeniem.

Tricia roześmiała się.

- Czasami strasznie się popisuje, ale i tak go kocham. Czy można ją winić?

- Może nie powinnam zostawiać Danny'ego tylko z Paulem, ale kiedy Steve zadzwonił, Paul uparł się, że powinnam choć na parę godzin wyjść z domu i się rozewrać. Kazał zostawić Danny'ego i się nie martwić. Bo niestety, kiedy się wiecznie siedzi w domu przy dwulatku, zapomina się, że poza macierzyństwem też jest jakiś świat.

Robin zamrugła.

- Przepraszam, nie rozumiem. Masz dwuletnie dziecko?

Tricia przytaknęła z blaskiem w oku.

- Tak. Nasze małe słońeczko.

- Ty i Steve? - nie była w stanie ukryć drżenia głosu.

Tricia spojrzała na nią, zdumiona. Spytała z dziwną miną:

- Pytasz poważnie? Steve nie powiedział ci, kim jestem?

- Nie. Ray powiedział, że Steve przychodzi z dziewczyną.

Tricia zaniósła się perlistym śmiechem.

- Z dziewczyną! O, niech tylko powtórzę Paulowi! Pęknie ze śmiechu! - Poklepała Robin po ręce. - Nie mogę uwierzyć, że nikt ci nie powiedział. Jestem żoną Paula Andersona. Steve to mój brat.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

- Steve Antonelli to twój brat? - prawie zapiszczała, ale nic nie mogła na to poradzić. Po koszmarnym wieczorze doznała teraz szoku. Tricia powoli przytaknęła, zaskoczona jej reakcją.

- Nie miałam pojęcia!

- Pewnie nie chciał, żebyś myślała, że nie umie znaleźć dziewczyny albo co.

- Nigdy bym tak nie pomyślała.

- Może nie powinnam tego mówić i nie chcę, żeby się dowiedział, że ci powiedziałam, ale parę lat temu został bardzo zraniony i praktycznie przestał interesować się kobietami. Między innymi dlatego Paul tak nalegał, żebym z nim dzisiaj przyszła. Przynajmniej wybrał się gdzieś i spotkał z ludźmi.

Robin nie wiedziała, co powiedzieć. Za dużo informacji spadło na nią znienacka. Kręciło jej się w głowie.

- Nie znam szczegółów, ale z półsłówek i plotek rodzinnych wynika, że na urlopie zakochał się śmiertelnie i był ponoć nawet gotów rzucić pracę i przeprowadzić się do niej. Ale najwyraźniej go spławiła. Wielka szkoda, bo byłby świetnym mężem i ojcem. Cokolwiek się stało, zmieniło go, stracił trochę zapału. Tata myśli, że to lepiej, nie jest już tak zatopiony w pracy i więcej czasu spędza

z rodziną. Ale kiedy pytam, czy się z kimś spotyka, mówi, że nie spotkał nikogo, kto by go interesował. Szkoda. Serce mi się kraje. - Poderwała się. - No, chłopcy zaczną się niepokoić, co się z nami dzieje.

Zastały mężczyzn pograżonych w rozmowie. Steve znów obdarzył Tricię kochającym spojrzeniem, dotknął jej ręki z czułością. Jego siostra. Nic dziwnego, że ich więź była tak widoczna. I że tak świetnie razem tańczyli.

„Och, Steve, jak mi przykro, że cierpiałeś. Tak bardzo chciałabym jakoś ci to wynagrodzić, tylko mi pozwól!”

Pożegnali się, czekając na zewnątrz, aż przyprowadzą im samochody.

- Miło było cię znowu spotkać, Robin. - Steve nie patrzył jej w oczy. - Pozdrów rodzinę ode mnie.

Ray wziął ją pod rękę, pomachał Steve'owi i pomógł wsiąść do samochodu.

- Jesteś strasznie milcząca - powiedział, siedząc już za kierownicą.

- Zmęczona. Wciąż działam według czasu teksańskiego, dla mnie jest dwie godziny później.

- No to tym razem ci wybaczę. A co do jutra...

- Pewnie prześpię jutro pół dnia.

- Serio mówiłem, że chcę być twoim przewodnikiem. Naprawdę chciałbym lepiej cię poznać.

- To bardzo miło z twojej strony, ale nie chcę, żebyś się rozczarował.

- Jest ktoś inny - powiedział z komicznie zrozpaczoną miną. Przytaknęła ruchem głowy.

- No jasne. Jaki facet przy zdrowych zmysłach pozwoliłby ci odejść? Można sobie tylko pomarzyć. Ale jeśli

chcesz przewodnika, wciąż jestem pod ręką, bez żadnych zobowiązań.

Dotknęła ręki dzierżącej kierownicę.

- Dziękuję.

Zostawiła go przed hotelem. Idąc do pokoju, zastanawiała się, co dalej. Nie kłamała, że była zmęczona, ale na pewno nie da rady zasnąć.

Dłuższą chwilę chodziła tam i z powrotem po pokoju, aż podjęła decyzję. Przebrała się w dzinsy i sweter. Noce były tu zawsze chłodne - miła odmiana po teksańskim lecie. Zeszła na dół po schodach i ruszyła do swojego wynajętego samochodu. Pojechała pod zapamiętany adres.

Gdy dotarła na miejsce, okna były ciemne. Zaparkowała po drugiej stronie ulicy. Poczeka na niego. Lepiej siedzieć tutaj, niż przewracać się bezsenne w łóżku.

Przyjechał jakieś dwadzieścia minut później. Patrzyła, jak wprowadził samochód do garażu, a potem obserwowała, jak zapalają się światła w oknach. Odczekała jeszcze, by dać mu czas na wytchnienie, po czym podeszła do drzwi i nacisnęła dzwonek. Wkrótce usłyszała brzęczyk. Drzwi otworzyły się.

- Co ty, na Boga, robisz tu o tej porze? - zapytał, gdy ją zobaczył.

- Chciałam z tobą porozmawiać.

- Teraz? - Cofnął się i zaprosił gestem do środka.

Nie miał już na sobie kurtki ani butów, koszulę miał rozpiętą i wyciągniętą ze spodni. Chyba trochę za długo czekała. Zaprowadził ją do dobrze wyposażonego salonu i skinął ręką.

- Usiądź.

Umieściła się na kanapie. Usiadł na wyściełanym krześle naprzeciw niej.

- Kiedyś nazwałeś mnie tchórzem.
- Naprawdę? Nie przypominam sobie.
- I miałeś rację.
- I to chciałaś mi powiedzieć?

- Oczywiście. Wzięłam urlop i przyjechałam tutaj, ponieważ chcę powiedzieć ci kilka rzeczy. Tyle że jak już tu byłam, nie miałam odwagi się do tego zabrać. Postanowiłam nie szukać cię i wtedy nagle wpadliśmy na siebie.

Wzruszył ramionami.

- Co za zbieg okoliczności, prawda?

Nie znosiła tego znudzonego tonu i wyrazu twarzy. Ale lepiej to rozumiała niż kiedyś. Bardzo go zraniła i teraz tylko tak umiał się bronić przed nowymi ciosami.

- Trudno mi znaleźć właściwe słowa. Tyle chciałabym ci powiedzieć. Przede wszystkim to, jak bardzo mi przykro.

- Z powodu?

- Że nie uszanowałam moich uczuć do ciebie, że potraktowałam twoje uczucie tak lekko. Wszystko między nami zaszło tak szybko, zupełnie nie byłam przygotowana.

- Chyba już o tym rozmawialiśmy. Jest już bardzo późno, a ja jestem zmęczony - założył nogę na nogę, stopa drgała mu rytmicznie, jakby w takt tylko przez niego słyszanej muzyki. Cieszyła się, że nie zapalił światła w salonie, że nie widział łez, które toczyły się po jej policzkach. Starła się zapanować nad głosem.

- Potrzebowałam czasu, żeby dorosnąć. Zdecydować, co dla mnie najważniejsze, czym i kim chcę być.

Zesztywniał nagle.

- Znalazłam dobrą pracę, niezależniłam się od rodziny, w zasadzie osiągnęłam wszystko, o czym marzyłam. Bardzo mi się pod tym względem poszczęściło. Ale przekonałam się, że bez ciebie to wszystko nic dla mnie nie znaczy.

- Dlaczego tu przyjechałaś? - zapytał szorstko.

- Żeby ci powiedzieć, że nigdy nie przestałam cię kochać. Od pierwszej chwili, gdy cię poznałam. Nie byłam wtedy gotowa na spotkanie miłości mojego życia i nie poradziłam sobie z tym. Głębia własnych uczuć przeraziła mnie. Nigdy jeszcze nie czułam się taka wrażliwa, taka bezbronna. Nie mogę sobie wybaczyć ostrych, bezmyślnych, okrutnych słów, jakie ode mnie usłyszałeś. Nie potrafiłam pojąć, że możesz kochać mnie tak samo. Że przydarzyło nam się coś, co trafia się tylko raz w życiu, a niektórym wcale. Przyjechałam, żeby dowiedzieć się, czy znalazłeś swoje szczęście, swoje spełnienie, bo tego właśnie dla ciebie pragnę. Miłości, szczęścia i spełnienia, na jakie zasługujesz.

Siedział w bezruchu. Czekala, ale się nie odezwał. Milczenie narastało, niemal nie do zniesienia. Nie było już nic do powiedzenia. Zresztą, jeszcze słowo, a załamałby się jej głos.

Wstała bez słowa i wyszła z pokoju. Cisza była boleśnie okrutna, ale nie żałowała tej nocnej wizyty. Wyrzuciwszy to wszystko z siebie, poczuła niesamowitą ulgę.

Miała nadzieję, że żywił jeszcze do niej jakieś pozytywne uczucia, że będzie w stanie przebaczyć jej niedojrzałość. Tak bardzo oczekiwała, że przyjmie przeprosiny.

Szczególnie po tym, jak otwarta i pełna przebaczenia okazała się jej rodzina. Ale zawiodła się.

Postąpiła tak podle! Zraniła tego silnego, niezależnego, ciepłego, kochającego mężczyznę tak głęboko, że nie chciał już mieć jej za żonę. Jak mogła odwrócić się do niego plecami, kiedy tak ochoczo ofiarował jej swą miłość? Tak bardzo przejęła się rolą urażonej dziewczynki, że nie zwracała uwagi na nic innego poza swoim bólem. Nie poświęciła ani jednej myśli temu, jak on się mógł czuć, gdy go odepchnęła.

A teraz będzie musiała żyć ze świadomością krzywdy, jaką wyrządziła im obojgu. Dał jej jasno do zrozumienia, że nie chce mieć z nią już nic wspólnego. I ani trochę nie mogła go obwiniać. Łatwo jej było przebaczyć samej sobie, ale wybaczenie od niego to zupełnie inna sprawa.

Jadąc z powrotem do hotelu, wiedziała, że dostała to, na co zasłużyła. Będzie musiała nauczyć się żyć ze świadomością, że sama zniszczyła to, co mogło okazać się trwałym, pełnym miłości związkiem z mężczyzną, który złożyłby chętnie serce u jej stóp.

Gdy wjechała do garażu hotelowego, była szczęśliwa, że nie musi przechodzić przez hol. Znalazła w torebce chusteczki, wytarła nos i oczy i wróciła do pokoju. Była prawie trzecia w nocy. Nie tylko późna godzina i różnica stref czasowych, ale i ciężka emocjonalna próba, jaką przeszła tej nocy, odcisnęły swoje piętno. Rzuciła się na łóżko i zapadła w głęboki sen, zbyt wyprana z emocji, by zastanawiać się, czym będzie jej życie bez Steve'a.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Łomotanie w jej głowie nie ustawało. Jęknęła i obróciła się na drugi bok. Nie wypła przecież tak dużo, żeby mieć kaca. Zmusiła się, by otworzyć oczy i zerknąć na zegarek. Spała tylko trzy godziny. A łoskot nie ustawał.

I nagle zorientowała się, że to jednostajne walenie do drzwi. Sięgnęła po szlafrok, okryła się i wyjrzała przez wizjer.

Natychmiast zdjęła łańcuch, odblokowała zamek i otworzyła drzwi.

Wyglądał strasznie. Nieogolony, z włosami sterczącymi na wszystkie strony, w pogniecionym ubraniu i z dziwnym spojrzeniem. Odsunęła się w milczeniu, pozwalając mu wejść, i zamknęła za nim drzwi. Oparła się o ścianę, czekając nie wiadomo na co.

Zachwiał się na nogach, nie wiedziała, czy od alkoholu, czy z wyczerpania. Ale przyszedł tu do niej. Był tutaj. A jej serce chciało wyrwać się z piersi. Kiedy przemówił, jego głos był szorstki i pełen złości.

- Szlag by cię trafił!

A potem chwycił ją i ścisnął tak mocno, jakby nigdy nie miał wypuścić z ramion. Zamknęła oczy, przytuliła się i objęła go równie mocno. Chciała ukoić go. Dotykać wszędzie i kochać, jak tylko umiała, żeby zapomniał o bó-



lu, jakiego mu przysporzyła. Nigdy nikogo nie kochała tak bardzo, czuła, że mogłaby eksplodować z miłości.

- Już prawie o tobie zapomniałem - powiedział zduszonym głosem. - Już najgorsze miałem za sobą. Cieszyłem się, że mieszkasz tak daleko, że nie mam szansy cię spotkać. A potem zjawiałaś się jak wytwór mojej wyobraźni.

- Kocham cię. Tak bardzo cię kocham - wyszeptała, lgnąc do niego.

- Kazałaś mi przejść przez piekło - poskarżył się żałośnie.

- Nie chciałam. Nigdy nie chciałam cię skrzywdzić. Proszę, uwierz mi.

- Przysiągłem sobie już więcej nie prosić cię o rękę. Nigdy. Nie chcę znowu przez to przechodzić.

Zacisnęła powieki.

- To nic - szepnęła.

Wciąż w objęciach opadli na łóżko.

- Jestem taki zmęczony - powiedział. - Zmęczony walką z własnymi uczuciami. Zaprzeczaniem im. Udawaniem, że wszystko w moim życiu w porządku, kiedy to nieprawda.

- Będzie inaczej, obiecuję. Przeprowadzę się tutaj. Będziemy się widywać, ile tylko będziesz chciał. Zdobędę pracę. To ziemia obiecana dla specjalistów public relations, nie będę biedować. Damy sobie czas i odbudujemy zaufanie. Ale pamiętaj, że cię kocham. Zawsze będę cię kochać.

Nie skończyła mówić, kiedy zapadł w kamienny sen, wciąż trzymając ją w ramionach. Odprężyła się i także zasnęła. Nie wiedziała, jak długo spała, ale gdy otworzyła oczy, stwierdziła, że go nie ma.

Usiadła na łóżku. Czy to jej się tylko przyśniło? Spojrzała na zegarek. Trzecia po południu, pada deszcz. Ale przez zasunięte zasłony zagląda światło słońca. To, co uznała za deszcz, to szum wody pod prysznicem.

Pobiegła do łazienki. Lustro było zasłane mgiełką, pomieszczenie pełne pary. Ściągnęła nocną koszulę i weszła do kabiny, obejmując nagiego mężczyznę stojącego pod strumieniem wody. Odgarnął sobie włosy z oczu.

- Jesteś prawdziwa. Wciąż nie jestem pewien, czy sobie tego wszystkiego nie uroiłem.

- Wiem, jak to jest. - Odwróciła go i zaczęła masować mu plecy, ciesząc się dotykiem prężących się mięśni. Kiedy Steve się odwrócił, był już w stanie całkowitego pobudzenia.

- O, cześć - powiedziała.

Spiesznie namydlił jej ciało. Gdy wyłączył wodę, rzuciła mu ręcznik, sama wytarła się drugim. Chciała jeszcze wysuszyć włosy, ale otworzył drzwi i pociągnął ją do łóżka.

Kochali się ostro, gwałtownie, do utraty zmysłów. Kochali się w milczeniu, ale wyznawali sobie miłość na wiele sposobów. Kiedy opadł na nią, oboje łapali raptownie oddech i drżeli. Trzymał ją mocno przy sobie, nawet gdy położył się obok.

- Nigdy mnie nie opuszczaj - szepnął. - Nie zniósłbym tego.

- Ja też nie.

Straciła poczucie upływu czasu. Poruszyła się dopiero, gdy usłyszała ohydne przekleństwo.

- Co się stało?

- Godzinę temu miałem być w pracy.

- O nie. I co teraz zrobisz?

Usiadł i sięgnął do telefonu.

- Powiem, że mam pilną sprawę rodzinną - wziął ją za rękę - że coś mi wypadło i przyjaciel pomaga mi to rozwiązać.

Słuchała, jak rozmawiał ze zwierzchnikiem. Gdy skończył, odwrócił się do niej. Całował ją i pieścił, aż zapłonęła żarem namiętności, a wtedy wziął ją ponownie.

- Tęskniłem za tobą - powiedział, kołysząc biodrami w równym, wolnym rytmie. - I tęskniłem do tego, żeby się z tobą kochać.

- Może to nie najlepszy moment, żeby o tym mówić - zaczęła, wyginając biodra na spotkanie każdego pchnięcia.

- Co?

- Powinnam poczekać na właściwy czas i miejsce - wydyszała.

- Powiedz.

- Raczej poproś.

- Jak chcesz.

- Steve, mój ukochany, czy wyjdiesz za mnie?

Spojrzał na nią, gubiąc rytm.

- Co powiedziałaś?

- Mówiłeś, że już nigdy nie poprosisz mnie o rękę. Rozumiem i szanuję twoje stanowisko. Ale skoro nie zadbaliśmy o antykoncepcję, musimy chyba rozważyć możliwe konsekwencje. Może jestem zbyt bezpośrednia, ale...

Zamknął jej usta pocałunkiem i pogubiła myśli. Nawet jeśli nie usłyszała upragnionej odpowiedzi, jeśli nic innego nie pomoże...

Zawsze mogła zadzwonić po braci.

## EPILOG

### *Październik, tego samego roku*

Ray klepnął Robin w ramię. Gdy się odwróciła, złapał ją i wydusił długi pocałunek.

- Lubisz ryzyko, co? - spytał Steve przyjaciela bez cienia uśmiechu. Ray zignorował go. Kiedy skończył, uśmiechnął się z anielską słodyczą.

- To stara tradycja, że pierwszy drużba całuje pannę młodą - *mrugnął do Robin*. - *Pewien jestem, że twoja świeżo poślubiona zdaje sobie sprawę, że to ja jestem najlepszą partią. Ty jesteś tylko nagrodą pocieszenia.*

Robin roześmiała się, a Steve otoczył ją opiekuńczym ramieniem i przygarnął do boku.

- No dobra. Jeden pocałunek. Ale nie myśl, że drugi ujdzie ci na sucho.

Przyjęcie na ranchu już się rozkręciło na dobre. Jej tata zawsze umiał organizować imprezy. Wszędzie roiło się od krewnych i przyjaciół obydwu rodzin. Przybysze z Kalifornii zjeżdżali się od tygodnia. Rodzice Steve'a zjawili się wcześniej, by poznać nowych członków rodziny. Oczywiście, Robin poznali jeszcze w czerwcu, gdy była na urlopie. Ostatni tydzień spędzony ze Steve'em głęboko zapadł jej w pamięć.

Wprowadziła się do niego na resztę pobytu. Udało mu

się zdobyć kilka dni wolnego, żeby mogli pojechać do Santa Barbara i spotkać Tony'ego i Susan. Natychmiast pokochała rodziców Steve'a. Przy obiedzie ubawiła ich opowieścią, jak to Steve przyprowadził na randkę siostrę jako swoją dziewczynę.

- Oczywiście chciał, żebym była zazdrosna - podsumowała, gdy wszyscy, łącznie ze Steve'em, chichotali.

- I udało się? - zapytał.

Spoważniała.

- Udało. Wtedy dopiero poznałam, co to zazdrość. To wcale nie jest miłe uczucie.

A teraz, kiedy wszyscy zebrali się w jednym miejscu na wspólnym barbecue przygotowanym przez jej ojca, z radością patrzyła, jak obaj ojcowie gadają jak starzy przyjaciele, a matki dzielnie starają się, by nikomu nie zabrakło jedzenia ani picia.

Uśmiechnęła się w duchu na wspomnienie poranka ostatniego dnia pobytu u Steve'a. Obudził ją śmiech i przekleństwa Steve'a. Gdy otworzyła oczy, nie mogła uwierzyć w to, co widzi.

Przed łóżkiem stali ramię w ramię jej trzej bracia. Sprawiali bardzo groźne wrażenie... póki nie spojrzała na ich twarze. Śmieli się, rozbawieni reakcją Steve'a.

- Kazałem założyć taki alarm, żeby nie dało się go obejść! - powiedział.

- Nie ma takiego - odparł jeden z braci, teraz już nie pamiętała który.

- Pozwólcie, chłopaki. Moja narzeczona i ja nie jesteśmy odpowiednio ubrani, żeby przyjmować gości. Więc jeśli nam wybaczycie...

Jason pokiwał głową z aprobatą.

- Narzeczona? No, to lepiej. Kiedy się pobieracie?

- Oświadczyła mi się kilka dni temu. Jeszcze nie ustaliliśmy szczegółów.

- Ona się oświadczyła? Uparty z ciebie osioł.

- Nauczyłem się od was, chłopaki. A teraz wynoście się, żebyśmy mogli się ubrać.

Dowiedzieli się od ojca o jej pojednaniu z ukochanym. Dzwoniła do niego, gdy wymeldowała się z hotelu, informując, że zatrzyma się u Steve'a. Tego samego popołudnia Robin wróciła z braćmi do Teksasu.

- Mam nadzieję, że nikt nie wie, dokąd się wybieramy na miesiąc miodowy? - zapytała Steve'a, wracając do rzeczywistości.

- Jak najmniej ludzi. Chociaż Carmela już snuje plany co do naszych ulubionych potraw. Ed mógł się wygadać tacie, ale obaj przysięgli, że nie powiedzą reszcie rodziny. Nie chcemy kolejnej wizyty twoich niepowtarzalnych, ekstramęskich braci!

- Och, dzięki.

Cindi podeszła i wyściskała ją.

- Jaka z ciebie promienna panna młoda, Robin. Dzięki, że wybrałaś mnie na pierwszą druhnę.

- A niby kogo miałabym o to prosić?

Cindi uśmiechnęła się szeroko.

- Taka jestem szczęśliwa, że się odnaleźliście. Kto by uwierzył na moich zaręczynach, że wyjdiesz za mąż przede mną?

Roger wyszedł wraz z Cindi bawić się dalej. Robin, rozbawiona, zauważyła, jak bardzo Roger przypominał

Jasona. Wyglądał na solidnego faceta, szalenie zakochanego w Cindi. Szkoda, że chcą zamieszkać w Chicago.

- Robin?! - zawołała matka. - Pora pokroić tort!

Dziewczyna spojrzała na Steve'a.

- Dasz radę?

- Żartujesz? Czekałem na to całe życie. Miejmy już to z głowy. Czeka na nas tropikalna wyspa.

Ucałowała go i odparła:

- Jeszcze trochę. Czekaliśmy tak długo.

Nie zapakowała wiele więcej, niż miała na wyspie ostatnim razem. W takim klimacie ubrania nie były niezbędne.

- Chciałbym wznieść toast - powiedział jej ojciec kilka minut później - za panią i pana Antonelli. Niech ich wspólne życie wypełnia tyle radości, szczęścia i zadowolenia, ile ja zaznałem u boku mamy Robin!

Wstał Tony.

- Przyłączę się do tego toastu: Steve i Robin, rozkoszujcie się błogosławieństwem prawdziwej miłości i cudem dzielenia życia z ukochaną osobą, tak jak dzieliłem się ja z mamą Steve'a.

Tu wstał i ucałował dłoń Susan.

- Mając takie przykłady - odrzekł Steve - jesteśmy skazani na sukces.